

JESTEŚMY LAUREATAMI II MIEJSCA W KONKURSIE
GAZET SZKOLNYCH O „LAUR GĘSIEGO PIÓRA”

Forum Mistrzów Pióra



DODATEK DO DWUMIESIĘCZNIKA SZKOLNEGO
„NASZA DWÓJKA”

NR 2/2/ rok szkolny 2009/2010 czerwiec 2010 Nakład 50 egz.

Szkoła Podstawowa nr 2 im. Św. Kingi w Sanoku

WYDANIE
SPECJALNE!

FORUM MISTRZÓW PIÓRA

dodatek specjalny „Naszej Dwójki”

lub po prostu

FORUM MISTRZÓW PIÓRA

Redakcja:

Joanna Twardak

Współpraca:

Lucyna Mazur

Dorota Myćka

Elżbieta Gładysz

Opracowanie komputerowe:

Alicja Staruchowicz-Pastuszczyk

Szkoła Podstawowa nr 2 im. Św. Kingi

Sanok 2010 r.

Drodzy Czytelnicy!

„Forum Mistrzów Pióra” to przedsięwzięcie, którego celem było wyłonienie spośród wszystkich uczniów tych z Was, którzy chcą, lubią i potrafią dobrze pisać. Zebrane w niniejszym wydawnictwie teksty – to prace domowe uczniów klas czwartych, piątych i szóstych, które przez panie polonistki zostały uznane za najciekawsze, najlepsze i godne opublikowania.

Publikujemy je więc z przekonaniem, że nasi Mistrzowie Pióra będą pisać coraz lepiej i z wiarą, że nasi Czytelnicy, idąc za przykładem Mistrzów, również będą doskonalić swój warsztat pisarski i wkrótce dołączą do grona najlepszych.

Redakcja

OPOWIEŚCI Z PRZESZŁOŚCI	6
„Historia wykupu ciała św. Wojciecha”	6
„Dwa grosze”	7
SPRÓBUJMY TO OPISAĆ	9
Ten sam krajobraz – inne spojrzenie –	9
<i>Idzie wiosna</i>	9
Ten sam krajobraz – inne spojrzenie –	10
<i>Zimowy dzień</i>	10
<i>Na wiejskim podwórku</i>	11
Morze to nie tylko piach i woda.	12
<i>Mój tajemniczy ogród</i>	14
Zainspirowani malarstwem –	17
<i>Vincent van Gogh – „Słoneczniki”</i>	17
<i>Ulubiona zabawka z dzieciństwa</i>	18
<i>Humorystyczny portret mojego rówieśnika</i>	21
<i>Jak się ubiera dzisiejsza młodzież?</i>	22
<i>Dla kolegi zza granicy</i>	23
W BAŚNIACH WSZYSTKO JEST MOŻLIWE.....	27
Za górami, za lasami.	27
„Pokonanie smoka przez rycerza Bonifacego”	27
„Lucefusz i magiczny długopis”	28
„Baśń z Królestwa Nuk”	31
„Kraina Liliputów”	33
„Kraina Liliputów”	34
Historie rodzinne	35
„ <i>Historia mojej rodziny</i> ”	35
TO MOGŁO SIĘ WYDARZYĆ	38
Sam na bezludnej wyspie	38
Na szczęście wszystko dobrze się skończyło.	39
Straciłem czworonożnego przyjaciela	42
Moje spotkanie ze znanym polskim aktorem	43
OPWIEŚCI Z PRZYSZŁOŚCI.....	45
„ <i>Kosmiczna wycieczka</i> ”	53

Z ŻYCIA WZIĘTE	59
To był wspaniały dzień!	59
Wędrowcy, podróżnicy, globtroterzy... ..	63
Czym jest szkoła? – marzenia i rzeczywistość	65
Jak być sobą?	66
Przyjaźń niejedno ma imię... ..	67
Życie jest piękne!	70
ZWARIOWANE HISTORIE ORTOGRAFICZNE	72
„Niezwykła podróż pociągiem”	72
”Przygoda z „ż”i „rz” w tle”	77
„Przygody królowej Elżbiety”	78
„Spotkania bliskie i dalekie”	79
W ŚWIECIE BOHATERÓW LEKTUR	81
„Spokanie nad morzem” – co było dalej?	81
Epilog	86
Ja też odwiedziłem królestwo Narnii... ..	87

OPOWIEŚCI Z PRZESZŁOŚCI



Radostaw Mazgaj kl. 6a

„Historia wykupu ciała św. Wojciecha”

Król Bolesław Chrobry wysłał biskupa Wojciecha na misję chrystianizacyjną do Prus.

Będąc wojem naszego władcy, pomagałem w przygotowaniach do tej ważnej misji.

Królowi bardzo zależało na powodzeniu wyprawy. Gdy na dwór królewski dotarła wiadomość o śmierci biskupa, nie mogliśmy w to uwierzyć. Wszystkich ogarnął smutek i żal. Bolesławowi bardzo zależało, aby ciało Wojciecha zostało sprowadzone do Polski. Prusowie zażądali tyle cennych kosztowności, ile waży ciało zabitego. Król wezwał nas do siebie i polecił wykupienie ciała Wojciecha. Każdemu z nas wręczył drogie klejnoty i inne skarby. Spakowaliśmy kosztowności i wyruszyliśmy.

Gdy dotarliśmy do granic Prus, sąsiedzi już na nas czekali. Ciało było owinięte w prześcieradło. Uzgodniliśmy, że zwłoki trzeba położyć na szali wielkiej wagi. Na drugą szalę zaczęliśmy kłaść skarby. Cieszyłem się, bo wiedziałem, że wkrótce ciało biskupa będzie wykupione. W sakiewkach były monety, klejnoty złote i srebrne, naszyjniki, wisiorki, kolczyki, pierścienie i bransolety. Okazało się, że skarbów nie wystarczało, a szala nie drgnęła. Ogarnęła mnie trwoga. Inni rycerze nie dowierzali, że zabrakło okupu. Nie mogliśmy przecież wracać bez ciała biskupa Wojciecha!

Wpadłem na pomysł, by każdy oddał to, co ma przy sobie cennego, może wtedy szala się przeważy. Prusowie cieszyli się, że zdobędą tak wiele bogactw. Oddaliśmy monety, obrączkę i łańcuch. Nasz przywódca podarował miecz z posrebrzaną rękojeścią. Jeszcze większe było nasze przerażenie, gdy te ofiary nie pomogły. Wtedy podeszliśmy do ludzi, którzy zebrawi się przy polskiej granicy i poprosiliśmy, aby każdy, kto może, położył na szalę coś cennego. Byliśmy zrezygnowani, ponieważ ludność była biedna.

W pewnej chwili podeszła do nas uboga kobieta, wydobyła z chusteczki dwa grosze i położyła je na szalę. Ofiarowała cały swój majątek. Była szczęśliwa i uśmiechnięta. Nagle szala opadła w dół! Nie mogliśmy w to uwierzyć. Wzięliśmy miecz i kilka sakiewek, a szala pozostawała na dole. Z radością, że misja powiodła się, wróciliśmy do króla, który nas oczekiwał.

Byłem dumny, że miałem udział w wykupie ciała św. Wojciecha.



„Dwa grosze”

Opowieść ta przedstawia zdarzenia, dotyczące wykupu ciała świętego Wojciecha z rąk Prusów. Jeden z wojów Bolesława Chrobrego, którego poselstwo zostało wysłane na pogranicze Polski i Prus, opowiada przebieg tego wydarzenia.

„W czasie, gdy zostałem jednym z wojów naszego króla, Bolesława Chrobrego, Wojciech, biskup praski, który przebywał u nas, wybierał się ze swoim bratem Gaudentym i osiemnastoma ludźmi do pogańskich Prus, aby je schrystianizować. Po kilku dniach my, wojowie, całe poselstwo króla, oraz on sam, dowiedzieliśmy się, że biskup nie żyje. Prawdopodobnie zabił go włócznią jeden z Prusów, któremu Polacy zabili brata, albo też został zamordowany przez pogan, ponieważ wszedł do świętego gaju ich bóstwa, co zostało uznane za świętokradztwo. Za wszelką cenę chcieliśmy odzyskać ciało biskupa. Prusowie owinęli zwłoki Wojciecha w prześcieradło i powiesili je na pograniczu Polski i Prus. Obie strony, tj. Polska i Prusy, uzgodniły, że ciało trzeba położyć na szali wielkiej wagi. Nas, swoich wojów, król zaopatrzył w wiele kosztowności, które mieliśmy kłaść na drugą szalę. Kładliśmy jedną sakwę po drugiej, ale po kilku chwilach zaniepokoiiliśmy się, ponieważ zapasy malały, a szale ani drgnęły. Ludzie, którzy się tam zebrali, byli bardzo zdziwieni, a serca Prusów radowały się z dwóch powodów. Nie spodziewali się tak wielkiego okupu, a zarazem cieszyli się z naszego niepowodzenia. Po złożeniu ostatniej sakwy na wagę popatrzyliśmy się na siebie z zakłopotaniem wiedząc, że trzeba coś wymyślić. Wówczas poprosiłem na bok swoich towarzyszy i zaproponowałem, aby uzupełnić to, co jest już na szali, naszymi własnymi kosztownościami. Oddawaliśmy monety, obrączki, łańcuchy. Nasz przywódca z ciężkim sercem oddał swój ukochany miecz z rękojeścią damaszkowaną srebrem. Ale i te ofiary nie pomogły. Wtedy podszedłem do tłumu polskich biedaków, którzy zgromadzili się tu z ciekawości. Bez przekonania zapytałem: „Czy ma ktoś z was monety lub jakieś inne kosztowne przedmioty, aby je ofiarować na wykup ciała świętobliwego męża?” Ku zaskoczeniu wszystkich, podeszła do nas uboga kobieta mówiąc, że odda to, co posiada. Zdawało nam się, że nie ma ona nic wartościowego, jednak nie broniliśmy jej podejść do wagi. Gdy doszła do zwłok, uważnie obejrzała prześcieradło owijające męczennika. Następnie wyciągnęła chustkę, rozwiązała supełek i wyjęła stamtąd dwa grosze, które były jej jedynym majątkiem. Z wielką radością i promieniejącą twarzą położyła je na podstawce. Wszyscy uśmiechnęli się niedowierzająco. Szala drgnęła, a następnie szybko spadła w dół podnosząc zwłoki. Okazało się, ku naszej ogromnej radości, a trosce Prusów, że nieco kosztowności można było ująć. Ocalał miecz dowódcy poselstwa polskiego

i trochę naszych kosztowności. Prusacy byli bardzo niezadowoleni i chcieli się targować, ale Polacy uświadomili im, że warunek umowy został wypełniony: „Języczek u wagi wskazuje równy ciężar.” Zabraliśmy szczątki św. Wojciecha do osady niedaleko Gdańska, zwanej odtąd Świętym Wojciechem, później do Trzemeszna, a stamtąd do Gniezna.”

Tak wyglądały zmagania z poganami. Gdyby nie niespodziewana pomoc biednej kobiety, być może ciało św. Wojciecha nigdy nie wróciłoby na ziemię polskie, a misja królewskich wojów nie mogłaby być wypełniona.



SPRÓBUJMY TO OPISAĆ

Ten sam krajobraz – inne spojrzenie

Idzie wiosna



Piotr Fic kl.4b

Na podwórku jest coraz cieplej, nadchodzi wiosna. Opiszę wam, jak wygląda to w mojej okolicy.

Śniegu jest coraz mniej, temperatura wzrosła powyżej zera, lecz w nocy występują przymrozki. Na ledwo zielonej, zniszczonej po zimie trawie, gdzieniegdzie leżą jeszcze płyty śniegu, to tylko pozostałość po zimie. Na trawniku zaczynają pojawiać się kwiaty, są bardzo ładne, mają ciekawe kolory i kształty. Te kwiaty to np. przebiśniegi, krokusy. Drzewa pochylają się na wietrze, niektóre mają już pojedyncze listki. Zwierzęta budzą się ze snu zimowego, to np. jeże, niedźwiedzie. Ptaki powracają z ciepłych krajów. Zaczynają odbudowywać swoje gniazda lub robić nowe. W powietrzu można zauważyć już muchy i inne owady. Dzieci zaczynają zabawę na dworze. Chodzą na spacer w gumowcach, bo często padają deszcze oraz wchodzą w kałuże, aby się ubrudzić. Niektórzy już grają w piłkę lub jeżdżą na rolkach. Słońce mocno przygrzewa. Ludzie powoli chowają ciepłe płaszcze i kurtki, teraz wystarczą tylko wiatrówki. W przyrodzie wszystko się „budzi”. Drzewa i krzewy się zielenią. Wszyscy się cieszą z nadejścia tej pory roku. Jest wtedy bardzo ładnie.

Bardzo podoba mi się ta pora roku ze względu na to, że robi się cieplej i w końcu będę mógł grać w piłkę nożną.



Dominika Załączkowska kl. 4b

Moją ulubioną porą roku jest wiosna.

Zaczyna się 21 marca, a kończy 21 czerwca. Świat budzi się do życia, topnieje śnieg, ptaki przylatują z ciepłych krajów i zaczynają budować gniazda. Skowronek zaczyna swój piękny i niesamowity śpiew. Niektóre zwierzęta budzą się z zimowego snu, a inne coraz częściej zaczynają wychodzić ze swoich nor. Słońce coraz mocniej grzeje. Na dworze robi się coraz cieplej. Dni stają się dłuższe. Stopniowo jeszcze żółto-brązowa trawa zaczyna przybierać jasnozielony kolor. Na drzewach pojawiają się zielone listki i rozkwitają pąki kwiatów. Świat staje się piękniejszy. W ogrodzie mojej mamy kwitną piękne kwiaty, takie jak: narcyzy, żonkile czy różnokolorowe tulipany. W tym okresie mamy niesamowitą

chęć do życia. Ludzie zaczynają częściej i chętniej wychodzić ze swoich domów, aby pospacerować, pooddychać świeżym powietrzem i podziwiać piękno przyrody. Rolnicy w tym czasie rozpoczynają pierwsze prace na polach.

Wiosna to piękna pora roku, czekam na nią z niecierpliwością.

Ten sam krajobraz – inne spojrzenie

Zimowy dzień



Piotr Mól kl. 4 a

Dzień w zimie jest jasny i mroźny.

Mróz maluje piękne wzory na oknach.

Drzewa okryte śniegiem, choć bezlistne, wyglądają jak na obrazku. Ich gałęzie uginają się pod ciężarem puchu. Śnieg, roziskrzony w blasku Słońca, lśni jak diamenty. Na stromym wzgórzu rośnie drzewo, które kwitnie sikorkami na żółto i na błękitno. Okoliczne pola przykryte są białą pierzynką. Słońce jak wielka cytryna oślepia swym złocistym blaskiem. Strzeliste sosny rzucają czarne cienie na zmrożony śnieg. Łagodny wiatr kołysze wysokie drzewa. Pośród nich na pnium siedzi gromadka gili, które wyglądają jak płonący ogień.

Uważam, że zima to bardzo ładna pora roku.



Julka Futyma kl. 4 a

Na zadanie domowe mam zrobić opis krajobrazu zimowego za dnia, a to wcale nie jest proste, zważywszy na to, że nie mam pojęcia, jak zacząć...

Może tak:

Zimowe dni są (a przynajmniej wydają się) jasne, gdyż o tej porze roku rzuca się w oczy oślepiające słońce, którego promienie odbijają się w skrzącym od światła śniegu.

Gdy spojrzeć na nasze bieszczadzkie lasy, widoczne za rzeką San, wszędzie – jak okiem sięgnąć – można dostrzec przeróżne odcienie bieli. Ośnieżone i oszronione drzewa wyglądają jak puszyste, apetyczne kalafiory. Okoliczne wzgórza także pokrywa srebrzysty puch, który mieni się i migocze. W zamrożonym powietrzu wirują lodowe gwiazdki. Oddech zamarza...

Na każdej gałązce, krzaczku i rynnie wiszą przejrzyste sople, w których przegląda się słońce...

Czasem tę harmonię burzy porywisty i przenikliwy wiatr, przynoszący zawieję i zamieć, co nie przeszkadza nam (dzieciom) w zimowych zabawach. Myślę zatem, że w ogólnym rozliczeniu, zima jest zupełnie przyjemną porą roku...

Uważam, iż pomimo początkowych trudności powyższy opis wyszedł mi wcale nie najgorzej... ☺



Daria Gonet kl. 4 a

Dzień był jasny i mroźny. Ośnieżone drzewa wyglądały jak śnieżnobiałe kalafiory, uginające się pod śniegiem. Zmrożony śnieg mienił się jak diamenty. Spiczaste sosny z upudrowanymi śniegiem gałęziami, poruszały się pod wpływem mroźnego i łagodnego wiatru. Słońce nad cichymi i rozległymi polami świeciło jasno, wyglądając jak wielka cytryna.



Ola Łyko kl. 4 a

Dzień ten był mroźny. Drzewa wyglądały jak śnieżnobiałe kopuły, a śnieg, który je przykrywał, lśnił jak diamenty. W oddali widać było łagodne wzgórze. Nad cichym polem świeciło oślepiające słońce. Gałęzie sosny ugięły się pod srebrzystym śniegiem. Lekki wiatr uspokajał ten dzień.

Na wiejskim podwórku



Bartek Czerwiński kl. 4b

Moja ciocia Bogusia i wujek Janek mieszkają na wsi, w dużym, dwupiętrowym domu. Dom zbudowany jest z cegieł, a balkony są drewniane. Przed domem znajduje się duże podwórko, otoczone siatką o ostrych końcach. Na podwórku stoi drewniany stół z ławkami, przy którym można usiąść i odpocząć.

W lewym rogu podwórza znajdują się rabaty z kwiatami. Kwitną w nich bzy, stokrotki, aksamitki, róże, dalie, słoneczniki i wiele innych kwiatów. Obok, z prawej strony, jest ogródek z grządkami pietruszki, marchewki i ziół. Blisko bramy znajduje się buda, w której mieszka Bobik.

Wieczorem na podwórzu unosi się zapach kwiatów i ziół, słychać rechotanie żab i świerszcze. Jest bardzo cicho i ciemno. Nie świecą się latarnie tak jak w mieście, podwórko oświetla tylko jedno światelko.

Bardzo lubię odwiedzać wujostwo i bawić się na podwórku przed domem.

Morze to nie tylko piach i woda...



Nikoleta Hydzik kl. 4b

Morze jest pełne skarbów.

Tafla wody mieni się tysiącami blasków. Przy brzegu rozbija się piana. Niedaleko morza znajdują się wydmy, na których rosną niebieskie mikołajki. Mewy latają po błękitnym niebie. Woda pachnie rybami, słonością i wodorostami. Bezmiar wody zlewa się z szarym niebem. W morzu żyje wiele gatunków ryb takich jak: dorsze, śledzie, flądry, szproty itp. Pływają po nim statki pasażerskie oraz kutry rybackie. Na jego dnie rosną wodorosty, a pomiędzy nimi wielkie koralowce. Słońce rzuca blask na żółty piach. Dziób statku kraje szmaragdową wodę.

Morze wyróżnia szum wody oraz słony zapach.

Bardzo chciałabym pojechać nad Bałtyk, zobaczyć zachód słońca nad polskim morzem.



Cezary Janowski kl. 4 b

Morze jest ogromnym zbiornikiem wodnym. Sięga od żółtej plaży aż po horyzont. Woda zmienia kolor w zależności od pory dnia i pogody. Czasem jest błękitne i spokojne. Kiedy wieje wiatr, zaczyna się burzyć, a na granatowych falach pojawiają się białe bałwany. O wschodzie i zachodzie słońca w wodzie odbijają się jego blaski. Tafla wody mieni się wtedy tysiącami barw.

Morska woda pachnie rybami i wodorostami. Żyją w niej liczne ławice srebrnych śledzi i fląder. Nad nimi latają rozkrzyczane, białe ptaki.

Fale delikatnie biją o brzeg i szumiąc, rozlewają się po piaszczystej plaży.



Dominika Załączkowska kl. 4 b

Morze to nie tylko piach i woda.

Z mola rozpościera się zapierający dech w piersiach widok na piękne, błękitno-szare morze. O każdej porze dnia i nocy wygląda inaczej. W często błękitnej, dużej i zarazem pięknej wodzie odbija się blask światła i wielkiego, żółto - pomarańczowego słońca. Woda zmienia swoją barwę.

Białe, spienione fale obmywają brzeg pokryty złoty-żółtym piaskiem. Szybko poruszająca się tafla wody mieni się tysiącami blasków. Przy brzegu rozbijają się białe, spienione fale. Morze tworzy dom dla wielu gatunków ryb takich jak: śledzie, dorsze, flądry, szproty, itp. Lekko kołysząca się woda pachnie rybami, słonością, wodorostami. Przy molu można spotkać rozkrzyczane ptaki.

Moim zdaniem obraz Bałtyku to niesamowity widok.



Piotr Fic kl. 4b

Opiszę wam bardzo ładny krajobraz Morza Bałtyckiego.

Wody Bałtyku rozciągają się aż po horyzont. Fale delikatnie rozbijają się o brzeg. Biała piana delikatnie zalewa piasek. Przy brzegu woda ma lekko brązową barwę, dalej niebieską, zielonkawą, ciemnozieloną i prawie granatową. Ten bezmiar wody zlewa się z szarym niebem. Ciemna tafla wody poprzecinana jest jaśniejszymi zygzakami. W morzu mieszka wiele gatunków ryb takich jak śledzie, szproty, flądry, dorsze. Dlatego też w nadmorskim powietrzu czuje się przyjemny zapach ryb, słoności i wodorostów. Wodorosty rosną przy brzegu. Mają miękkie, kosmate i śliskie łodygi. Morze czasem bywa rozgniewane, czasem łagodne, to szare, to pełne kolorów. Inaczej szumi rano, inaczej w księżycowy wieczór. Inaczej wygląda, gdy patrzeć na nie z wydmy, inaczej z plaży, a jeszcze inaczej z mola. Raz woda jest gładka, wyiskrzona jak lustro, kiedy indziej skaczą po niej białe bałwanki. Nad taflą wody latają krzykliwe mewy.

Nadmorska plaża to bardzo ładne miejsce. Idealne na wakacje i wypoczynek.



Mój tajemniczy ogród

Ola Marczak kl. 5 c

Czy wszystkie dni muszą być takie same?! Przychodzę ze szkoły zmęczona, wszystko mnie boli, a tu od razu zza rogu wyskakuje mój brat. I nuż mi dokuczać, przezywać i denerwować. Mama oczywiście trzyma jego stronę. Zawsze słyszę od niej to samo: „Jesteś starsza, bądź mądrzejsza, ustąp młodszemu”. Po prostu można zwariować!

Tak było i tego dnia: ze złości wybiegłam z domu, i udałam się do ogrodu. Przesiedziałam tam dość długo.

Słońce zaczęło się powoli zniżać za horyzont. Pomyślałam, że już czas na kolację, więc wstałam z ziemi, odwróciłam się w stronę domu i chciałam wrócić, gdyż byłam trochę głodna.

Nagle poczułam silny zapach macierzanki. Coś kazało mi się kierować w głąb ogrodu. Szłam przez jakiś czas ścieżką. Kiedy znalazłam się przy wierzbie, zobaczyłam - ku swojemu zdziwieniu - wielką stokrotkę, która uśmiechała się do mnie! Ale to nie wszystko, kwiatek otworzył usta i powiedział:

- Witaj! Mam na imię Amelia.

Stokrotka, widząc moje zdziwienie, roześmiał się:

- Dlaczego się dziwisz? Czy my, rośliny, nie możemy rozmawiać?

Ależ możecie! Ale... –nie dokończyłam zdania, bo nie wiedziałam, co powiedzieć.

- Dobrze, mniejsza z tym. Czy chcesz pójść ze mną do Królestwa Kwiatów?

- Tak, yyy chyba tak..

Kwiatek ujął mnie za rękę i coś tam zamruczał. W wierzbie rozwarł się pień, a Amelia wskoczyła do środka, ciągnąc mnie za sobą.

Jechaliśmy długim tunelem, którego ściany były tak zielone, tak błyszczące, że chyba nikt na ziemi nie widział takiego koloru.

Wylądowałyśmy w pomieszczeniu, którego ściany były drzewami. Wielka rosiczka zatrzymała nas i zaczęła przeszukiwać. Zapytałam Amelię:

- Co ona robi?

- Patrzy, czy nie przyniosłyśmy ze świata ludzi żadnych szkodników, takich jak chrząszcze, obgryzaki. –odpowiedziała stokrotka.

Kiedy mięsożerna roślina skończyła swoją „inspekcję”, wyszłyśmy z Amelią dróżką wysadzaną kawałkami lusterek.

Widziałam wokół siebie same cuda i dziwy: kamienie, grające w kulki, brzozy, które siedziały sobie przy herbatce rozmawiając w najlepsze, przeróżne kwiaty wędrujące po lustrzanych ścieżkach. Zauważyłam, że są tam sklepy

o nazwach: „Biedronka”, „Żabka” oraz „Stokrotka”! Kilka razy ujrzałam drobne zwierzątka, przeważnie mrówki, żaby i ślimaki w kolorowych skorupkach. W powietrzu latały pszczoły, motyle, ważki, biedronki.

Jednak po głowie chodziło mi jedno pytanie: dlaczego gadająca stokrotka zabrała mnie do tego miejsca? Zapytałam o to Amelię.

- Powiem ci, jak dojdziemy do pałacu. To już niedaleko.

Miała rację, po chwili znalazłyśmy się przed wielkim zamkiem.

Ale cóż to był za cudowny pałac! Był upleciony z żółtej, niebieskiej, czerwonej, różowej, białej, fioletowej trawy. Drzwi zostały zrobione z kokonu jedwabnika, dzięki czemu były mięciutkie i delikatne w dotyku. Kopuły wysadzone były szmaragdami oraz szafirami. Zamek sprawiał wrażenie bogatego, zarówno na zewnątrz jak i wewnątrz.

Kiedy weszliśmy do tego budynku, stokrotka powiedziała:

- Jesteśmy w pałacu królowej Rozalii i Liliany. Ostatnio zachorowały. Rozalia na dziwną chorobę: wszystko, czego dotyka, zmienia kolor na czerwony, a z jej łodygi cieknie rubinowa woda. Natomiast Liliana w swym kielichu, zamiast złotych pręcików, ma błyszczące perły, pod których ciężarem królowa nie może unieść głowy. Z jej liści leje się śnieżnobiały płyn. Nadworni lekarze, mniszki lekarskie, nie znaleźli sposobu, by je wyleczyć, więc cała nadzieja w tobie! Dlaczego ty? Pewnie zadajesz sobie to pytanie. Powiem ci. Pamiętasz, miałaś niedawno lekcję przyrody, na której rozmawialiście o chorobach?

- Ale my nie braliśmy o takich dolegliwościach! – zaprzeczyłam.

Stokrotka nic nie odpowiedziała, bo weszliśmy do diamentowej komnaty. Słoneczniki zatrąbiły w trąbki, a piękny motyl zaprowadził nas przed oblicze władczyń. Amelia coś powiedziała do monarchiń, motyla. Potem kazali mi rozpocząć leczenie.

Uff! Szczerze mówiąc nie wiedziałam, co trzeba zrobić. Rozalia cały czas krwawiła, więc postanowiłam zatamować krew. Wyciągnęłam z kieszeni chusteczki i przyłożyłam do rany w łodyżce róży. To samo zrobiłam na liściu lilii. Nie wiedziałam, co zrobić, by Rozalia przestała zamieniać wszystko na kolor czerwony i co z liśćmi Liliany? Nagle mnie oświeciło! Zapytałam motyla:

- Czy jest tu nadworny krawiec?

- Tak, konopie i len są zwarte i gotowe – powiedział owad.

- A więc każ im uszyć suknie koloru szkarłatnego i koloru alabastrowego.

Gdy suknie były już gotowe, królowe ubrały się w nie. Róża przestała zmieniać wszystko na czerwono. Tylko nie miałam pojęcia, co zrobić z perłami lilii. Ale wpadłam na świetny pomysł: rzemieślnicy zszyli perły, z których powstały diademy i naszyjniki. Władczynie wyzdrowiały!

- Hura! – zakrzyknął cały królewski dwór.

Wszyscy gorąco mi dziękowali, a potem zaprosili mnie na ucztę. Już miałam się zgodzić, ale popatrzyłam na zegarek. O kurczę! Jest w pół do jedenastej w nocy!

A ja jeszcze nie odrobiłam zadania z matmy! Więc podziękowałam wszystkim zwierzętom, roślinom, owadom. Wytłumaczyłam, że muszę wracać do domu. Wszystkie żywe istoty w zamku przyjęły to z wielkim smutkiem. Królowe obdarowały mnie perłowym naszyjnikiem, a Amelia odprowadziła mnie do wyjścia.

- Żegnaj! Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy! – krzyknęła moja przyjaciółka.
- Do zobaczenia! – zawołałam. Potem weszłam do tunelu. Po chwili znalazłam się w moim ogrodzie. Popatrzyłam na zegarek, była dziewiętnasta dziesięć! Kiedy byłam w krainie kwiatów, czas na ziemi zatrzymał się! Mogłam zostać tam dłużej...

Ale dosyć tych marzeń. Kolacja czeka. I muszę jeszcze odrobić zadanie. Cóż to była za przygoda!



Alicja Styszko kl. 5 c

Mój wymarzony ogród znajduje się nad małym jeziorkiem w pobliżu lasu. Jego granice wyznaczają zielone tuje i ozdobne krzewy pachnących róż, obsypanych kwiatami od czerwca do późnej jesieni. W głębi ogrodu, nad szumiącym strumykiem, który wpada do oczka wodnego, znajduje się altana, cała obrosnięta dzikim winem. Wygląd jej zmienia się zależnie od pory roku, od jasnozielonego wiosną, po ciemnozielony latem, przeplatany granatowymi liśćmi winogron, aż po purpurę późną jesienią.

Zwirową ścieżką, osłoniętą owocowymi drzewami, można przejść do najbardziej tajemniczej części ogrodu. Wśród pięknie kwitnących, kolorowych różaneczników znajduje się wygodna ławeczka, na której można odpocząć po ciężkiej pracy w ogrodzie. Zamierzam obok niej w przyszłości posadzić drzewo oliwkowe.

W upalne dni najlepiej odpoczywam w altanie, leżąc na rozwieszonym hamaku, słuchając bzykania pszczół, śpiewu ptaków, czy szumu strumyka. Rozleniwiam się i zapadam w drzemkę, podczas której śnię o swoim wymarzonym ogrodzie, o pięknej, czerwonej kępie maków syberyjskich, znajdującej się przy furcie, a także o klombie w centralnej części ogrodu, z wierzbą płaczącą i tulipanami.

Oczko wodne to najciekawszy punkt ogrodu. Jest otoczone głazami, pośród których rosną kolorowe rośliny wodne, a z buzi wielkiej zielonej żaby tryska fontanna. Być może żaba zwabia swoje towarzyski, bo gdy wieczorem siadam na brzegu, mogę usłyszeć głośnie kumkanie.

W wodzie pluskają kolorowe rybki i rosną grzybienie. Jest to naprawdę uroczy zakątek mojego ogrodu.

W najstarszej części rosną stare drzewa owocowe o konarach powyginanych

niczym płatanina węży. Jesienią uginają się pod ciężarem żółtych śliwek, czerwonych jabłuszek i zielonych gruszek. Trawnik wokół nich przypomina barwny kobierzec. Rosną tam kępy białych stokrotek, pomarańczowych nagietek i czerwonych firletek.

W prawym zakątku wzbudzają zachwyt najpiękniejsze kwiaty lata. Ich barwy i zapach przyciągają liczne owady, które przyozdabiają je niczym klejnoty. Idąc dalej mijam kępy traw, które pięknie szumią, poruszane podmuchami wiatru.

Marzę o tym, by taki ogród posiadać i móc się w nim wylegiwać i bawić. Mam nadzieję, że kiedyś moje marzenie się spełni i wcześniej opisane piękno będzie moje.

Zainspirowani malarstwem –

- *Vincent van Gogh* – „*Słoneczniki*”



Michał Polański kl. 5 b

Obraz namalowany w 1888 roku przez Vincenta van Ghogha, nosi tytuł „Słoneczniki”.

Martwa natura utrzymana jest w ciepłej gamie barw. Patrząc na nią z daleka, widzimy tylko jaskrawe plamy na niebieskim tle. Dopiero, gdy spojrzymy na obraz z bliska, widać poszczególne kwiaty i ich różnorodność.

Słoneczniki w środkowej części bukietu, tuż nad wazonem, mają bardzo liczne pomarańczowe płatki, przykrywające brązowe tarcze. Na lewo od nich widać odwróconą roślinę oraz mały słonecznik, częściowo przesłaniający ten większy. Tylko w tym punkcie dominuje zieleń. Równoważą ją zielone liście po drugiej stronie kompozycji i brązowe środki tarcz słoneczników u góry. Po prawej stronie bukietu widać niewielki opadły kwiat z zielonymi liśćmi i pomarańczowym środkiem, zaś na górze można zauważyć słoneczniki z żółtymi, poskręcanymi płatkami. Te poskręcane płatki i powykrzywiane łodygi sprawiają, iż obraz jest dynamiczny.

Słoneczniki umieszczono w wazonie. Dzbane, w porównaniu z kwiatami, jest nieduży. Górną część wazonu przykrywają słoneczniki. Tuż poniżej kwiatów, w jego środkowej części, znajduje się jasna plama - odbicie światła. Plama przyciąga uwagę odbiorcy i ożywia dość jednolitą powierzchnię dzbanka. Podstawa, na której umieszczono bukiet, jest również żółta. Od niebieskiego tła i dzbanka oddziela ją mocny brązowy kontur. Martwa natura przesycona jest dużą ilością światła.

Myślę, że ten impresjonistyczny obraz mógłby zdobić każde wnętrze.



Maria Berdysz kl. 5 b

Będę opisywać obraz wielkiego malarza Vincenta van Gogha, pt. „Słoneczniki”, który powstał w 1888r.

Na pierwszym planie, pośrodku, znajduje się wazon z kwiatami. Wazon jest żółty, błyszczący z lekkimi, brązowymi smugami. Ma kształt lekko zaokrąglony.

Słoneczniki, które znajdują się w wazonie, też mają kolor żółty, ale jakby w dwóch odcieniach.

Niektóre są jaśniejsze, mają ciemne środki i wyraźne, powykrzywiane płatki. Inne są ciemniejsze, podobne do kulek.

Pomiędzy główkami kwiatów widać zielono – żółte, powyginane łodygi i liście. Tło za bukietem jest w kolorze bładoniebieskim, natomiast to, na czym stoi wazon, jest tak złociste jak same słoneczniki.

Ponieważ na obrazie przeważa kolor żółty, który jest kolorem ciepłym, całe dzieło sprawia wrażenie, jakby kwiaty ogrzewało i oświetlało jesienne słońce.

I chociaż tło jest chłodne i zimne, to z obrazu czuć ciepło i złocisty blask. Ułożenie słoneczników jest bardzo naturalne.

Moim zdaniem obraz jest pogodny i słoneczny.

Ulubiona zabawka z dzieciństwa



Radosław Mazgaj kl. 6a

Mam wiele zabawek z dzieciństwa, które bardzo lubię, ale największym sentymentem darzę pluszowego misia Smoczusia. Mama powiedziała mi, że dostałem go na pierwsze urodziny od cioci Justyny.

Ta przeurocza, średniej wielkości przytulanka, siedzi sobie nad biurkiem, na powieszanej półce. Czasami wydaje się, że z tak wysokiego miejsca patrzy i pilnuje całego pokoju. Obok niej jest mały kaktusik w niebieskiej doniczce.

Smoczuś jest bardzo kolorowy i uszyty z różnych materiałów. Skórę ma zieloną, w czarne ciapki, wyjątkiem jest żółty brzuszec. Na głowie ma ogromny czerwony kapelusz. Ubrany jest w niebieski kubraczek. Duże oczy i grzywka są niezwykłą ozdobą dla mojej ulubionej zabawki z dzieciństwa.

Niektórzy koledzy mówią, że miś Smoczuś nie jest ładny, natomiast ja uważam, że ma w sobie urok i piękno. Przypomina mi wspaniałe chwile z dzieciństwa.



Szymon Skiba kl.5 b

Moją ulubioną zabawką z dzieciństwa jest zestaw kolejki elektrycznej. Dostałem ją w prezencie od mamy na piąte urodziny i bawię się nią nieraz do dzisiaj. W skład kolejki wchodzi: tory kolejowe, stacja, lokomotywa i cztery wagony.

Swoją zabawę zaczynam od złożenia torów kolejowych, które składa się w kółko, elipsę lub ósemkę. Przy torach ustawiam stację kolejową i słupy elektryczne. Stacja kolejowa jest to niewielki budynek, o kształcie prostokątnym. Jest koloru ciemnozielonego z brązowym dachem, wykonanym z plastiku. Słupy elektryczne stojące przy torach są koloru brązowego

i także są wykonane z plastiku. Lokomotywa jest bardzo duża, ma kabinę maszynisty czarnego koloru, jej koła też są czarne. Boki lokomotywy i dach są ciemnozielone, kominy i światło - złote. Wagony są cztery: pierwszy jest osobowy, niebieski z czarnym dachem. Drugi wagon jest żółty, można nim przewozić piasek, żwir lub sypkie towary. Trzeci wagon jest cały czarny i służy do przewozu węgla. Czwarty jest platformą, na której umieszczono srebrną cysternę służącą do przewozu paliw. Jeśli naciśnie się pewien przycisk znajdujący się na budynku stacji kolejowej, można usłyszeć różne dźwięki, np. odgłos przejeżdżającego pociągu, zamykającej się rampy kolejowej, itp. Po włączeniu lokomotywy zapala się światło, a z komina wylatuje dym.

Bardzo lubię tę kolejkę, często się nią bawię, układam z torów przeróżne trasy.



Joanna Smarzewska kl. 5b

Moją ulubioną zabawką jest lalka. Nazywa się Gloria. Dostałam ją na szóste urodziny i od tej pory towarzyszy mi do chwili obecnej. Siedzi na półce między niebieskim misiem, a baśniami Andersena.

Jest wysoka, ma drobną sylwetkę i okrągłą buzię. Ma duże niebieskie oczy i zadarty nosek. Jej uszy ozdobią zielone, połyskujące klipsy. Policzki Głorii są zaróżowione, a brwi cienkie jak nitki. Usta ma czerwone i uśmiechnięte.

Ubrana jest elegancko, w aksamitną suknię w kolorze amarantowym. Na nóżkach ma białe, koronkowe pończoszki. Stopy przyozdabiają czerwone buciki ze

srebrną klamerką, na niewielkim obcasiku. Na głowie ma srebrny diadem, a w rękę trzyma elegancką torebkę. Na suknię ma zarzucone jasnoróżowe bolerko.

Bardzo lubię moją lalkę i jestem do niej mocno przywiązana. Gdy wyjeżdżam w różne podróże, zawsze zabieram ją ze sobą. Często po szkole bawię się nią w np. dom, szkołę, urządzenie przyjeść. Gloria jest najładniejszą lalką na świecie i wszystkim się bardzo podoba.



Justyna Małek kl. 6a

W moim pokoju zbieram od dzieciństwa wszystkie rzeczy, jakie dostaję z różnych okazji od moich rodziców, rodziny i znajomych, a także różne pamiątki, które kupuję, będąc w ciekawych miejscach i na wakacjach. Zajmują one sporo miejsca na półkach moich szafek, na moim biurku i na dużej półce nad moim łóżkiem. Spora część z tych rzeczy stanowią różne misie i przytulanki.

Najbardziej ulubioną zabawką z mojego dzieciństwa jest maskotka osiołek. Dostałam go siedem lat temu od rodziców na mikołajki. Od samego początku bardzo mi się spodobał. Nazwałam go Kłapouchy, ponieważ ma długie, opadające uszy, które dają się wyginać w różne strony. Jest on wykonany z miękkiej, pluszowej, bardzo przyjemnej w dotyku, tkaniny koloru kremowego. Swoim wyglądem bardzo przypomina osiołka z bajki Kubuś Puchatek. Jest tak samo wątyły i ospały, ma jednak w sobie coś, co każe go wziąć i przytulić do siebie. Na pyszczku ma dwoje dużych, czarnych oczu i dwie małe czarne dziurki nosa, powyżej których naszyto mu dwa czerwone serduszka. Lewe oko ozdabia dodatkowo biała łątka z czerwonymi szyciami oznaczającymi brwi. Na głowie i szyi ma krótką, czarną, nieco skołtunioną grzywę. Tułów osiołka jest chudy, tylko brzusek mu nieco odstaje. Ma on krótkie cztery nogi, z dużymi jasnoszarymi kopytkami. Na lewym tylnym kopytku od dołu ma wyszyty na czerwono napis w języku angielskim „Love is everything”, co w tłumaczeniu na język polski oznacza „Miłość jest wszystkim”. Od tyłu tułowia zwisa mu bezwładnie długi ogon, zawiązany w supelek, z czarnym, postrzępionym końcem.

Kłapouchy to mają najmiłsza, najwspanialsza zabawka na świecie, dlatego też zawsze jest blisko mnie i towarzyszy mi w każdej podróży. Myślę, że każdy powinien mieć swoją ulubioną zabawkę – przytulankę, która towarzyszyłaby mu na co dzień i pocieszała w trudnych chwilach.



Miłosz Balwierczak kl. 5b

Zabawką, którą chciałbym opisać jest robot zasilany bateriami.

Jest on średniej wielkości. Jego budowa podobna jest do budowy ciała człowieka. Głowę i nogi ma zaokrąglone, a wszystkie pozostałe części są kwadratowe. W rękach trzyma karabiny. Robot ma niebieski, metaliczny kolor. Karabiny są złote, a szybka w kasku - fioletowa. Z zewnątrz robot jest wykonany z plastiku o gładkiej powierzchni. Wewnątrz mieści się cała elektronika.

Po włączeniu robot chodzi, rusza rękami, mówi, a trzymane przez niego karabiny wydają dźwięki i migają.

Mój robot nie jest może największych rozmiarów, ale ma ładny kolor i pomimo tego, że hałasuje, lubię czasem go włączyć i przypomnieć sobie zabawy z dzieciństwa.

Humorystyczny portret mojego rówieśnika



Monika Kozimor kl. 6c

Moja przyjaciółka Edyta Szkałuba ma 12 lat i chodzi ze mną do klasy 6c. Urodziła się 3.10.1997r. w Sanoku. Często mówię na nią Edziu i Edek.

Edyta ma mały nos, ale za to oczy duże i piękne jak kryształ. Jej twarzyczka pokryta jest piegami. Oczy Edzia otoczone są długimi i gęstymi rzęsami. Zauważyłam, że przeważnie Edek nosi jeden kolczyk większy, a drugi mniejszy, lub oba innego koloru. Moja przyjaciółka ma krótkie brązowe włosy, zwykle spięte w kucyk. Prawie zawsze na głowie nosi opaskę i spincezki. Edytka ładnie się ubiera, książki i zeszyty zawsze ma spakowane w różową torebkę.

Edziu ma dość dziwne i niespotykane umiejętności. Potrafi klaskać policzkami, strzelać nosem, itp. Edyta świetnie skacze wwyż i w dal. Potrafi także niesamowicie grać w siatkówkę.

Moja przyjaciółka posiada ciekawe cechy charakteru. Jest odważna, nie boi się wdawać w bójkę z chłopakami. Potrafi być także pomysłowa. Gdy ja nie mam pomysłów na np. wypracowanie, ona sypie nimi jak z rękawa. Jest także rozważna. Zawsze zajdzie czas na zaplanowane czynności. Cechuje ją także cierpliwość i wytrwałość. Gdy czegoś nie rozumie, nie poddaje się, tylko próbuje dalej.

Edyta jest moją najlepszą przyjaciółką. Zawsze na jej twarzy widzę uśmiech. Potrafi śmiać się z byle czego i robić głupie miny. I za to ją lubię!

Jak się ubiera dzisiejsza młodzież?



Emilia Krupska kl. 6a

Dzisiejsza młodzież ubiera się bardzo ciekawie. Duży wpływ na jej ubiór ma muzyka.

Można łatwo rozpoznać grupy metalowców, rockowców i hip-hopowców. Metalowcy ubierają się przeważnie na czarno. Noszą czarne płaszcze, bluzy, koszule. Na nogi zakładają głany, a czasem trampki. Ubierają stroje ze skóry ozdobione metalowymi ćwiekami. Metalowcy nie wiedzą, co to jest szampon. Noszą długie, zaniedbane włosy. Styl podobny do metalowców mają rockowcy. Najważniejszą różnicą jest to, że ci mają włosy postawione na żelu, czasami farbowane na bardzo jaskrawe kolory. Zupełnie odmienny styl prezentują hip-hopowcy. Styl hip-hopowy określa osobę, którą cechuje kompletny brak gustu w doborze kolorystyki i rozmiaru własnej garderoby. Chodzi ona w ubraniach za dużych o co najmniej cztery rozmiary. Fryzury u hip-hopowców nie istnieją- mają łyse głowy.

Oprócz tych grup młodzieży bardzo dużo młodych ludzi nie ulega specjalnym stylom. Noszą typowe, oferowane przez handlowców, stroje. Ubierają się z gustem. Dziewczyny zakładają ciekawą, różnokolorową biżuterię, dobierają fryzury pasujące do ich urody. Zarówno chłopcy jak i dziewczyny uwielbiają obuwie sportowe. Adidasy i trampki to buty na każdą okazję.

Tak wyglądają stroje dzisiejszej młodzieży. Uważam, że młodzież ubiera się różnorodnie, oryginalnie i bardzo ciekawie.



Lukasz Jakubas kl. 6a

Trendy młodzieżowe w dzisiejszych czasach są bardzo różne, począwszy od strojów klasycznych, po bardzo ekstrawaganckie ubrania. Sposób ubierania bardzo często idzie w parze z wyznawaną przez młodzież ideologią.

Styl klasyczny to najczęściej spodnie dżinsowe i jakiś w miarę „spokojny” sweter. Włosy są obcięte na krótko lub długo, jednak fryzury nie są jakoś specjalnie układane. „Klasyk” nie wyróżnia się zbyt wiele z tłumu, gdyż nie

nosi jaskrawych lub wyzywających strojów. Dziewczyny w tym stylu ubierają się podobnie do chłopców, tj. dżinsy, koszulka oraz kurtka lub bluza.

Jest grupa młodzieży, która ubiera się bardzo elegancko, czyli spodnie w kant, biała koszula i marynarka.

W stylu hip-hopowym pojawiają się już różne wariacje, np. dredy, irokez lub długie włosy, co jednak może dotyczyć wszystkich stylów. „Hiphopowiec” ubiera zwykle dresy i bluzy z kapturem.

Wśród dziewcząt często spotyka się modę bardzo „krzykliwą”: króciutkie spódniczki albo nawet krótkie spodenki, bluzeczki z dużym dekoltem lub odsłaniające brzuch. Dużo biżuterii, wysokie obcasy, najróżniejsze, czasem „kolorowe” fryzury.

Jest też skrajny nurt w modzie młodzieżowej, a mianowicie emo. Jego przedstawiciele ubierają się w ubrania o bardzo ciemnych odcieniach, np. w kolorze czarnym, malują się bardzo intensywnie i farbują włosy. Emo nabijają ćwiekami swoje odzienia i wbijają kolczyki w nos, pępek, język, a także w uszy.

Jak widać, stylów młodzieżowego ubierania się jest wiele i tylko od nastolatka zależy, jaki wybierze: klasyczny, hip-hopowy czy nawet emo.

Ja jestem zwolennikiem stylu klasycznego.

Dla kolegi zza granicy...



Mateusz Pęczak kl. 6a

Sanok, 4 kwietnia 2010 r.

Drogi Karolu!

W pierwszych słowach chciałbym Ci podziękować za list, który dostałem od Ciebie tuż przed moimi urodzinami! Były w nim wspaniałe i wzruszające życzenia, za które serdecznie Ci dziękuję!

W liście wspomniałeś także o naszej wspólnej wycieczce, jaką zrobiliśmy sobie, będąc na Bornholmie podczas ostatnich wakacji. Nieraz oglądam zrobione wtedy zdjęcia. Przypominają mi one miłe chwile spędzone razem. Powiem Ci szczerze, że chciałbym jeszcze raz zobaczyć Oceanarium i Muzeum Rybołówstwa w Rønne.

Pamiętasz, jak pytałeś mnie o nasze (Polaków) zwyczaje i obyczaje? Chciałbym Ci przybliżyć chociaż w wielkim skrócie moją kulturę, abyś mógł więcej wiedzieć o moim kraju.

Obzędry religijne Wielkiej Nocy rozpoczynają się wczesnym rankiem. Uroczysta procesja wokół kościoła i Msza Święta w moim kościele nazywana jest

rezurekcją. Po Mszy Świętej spożywamy uroczyste śniadanie w gronie rodzinnym, podczas którego składamy sobie życzenia, dzieląc się jajkiem, poświęconym w tzw. Wielką Sobotę.

W Polsce ze Świętami Wielkanocnymi wiążą się liczne religijne i ludowe obrzędy, np. pisanki, śmigus-dyngus, palemki. Wiem jednak, że w liście nie da się wszystkiego napisać, dlatego opowiem Ci tylko o pisankach i palmach. Pozwól, że napiszę o tym w wielkim skrócie.

W naszym kościele Wielki Tydzień zaczyna się Niedzielą Palmową. Kiedyś nazywano ją *kwiętną* lub *wierzbną*. Palemki, czyli różgi wierzbowe, gałązki bukszpanu, malin lub porzeczek – ozdabiano kwiatkami, mchem, ziołami, kolorowymi piórkami. Po poświęceniu palemki biło się nią lekko domowników, by zapewnić im szczęście na cały rok. Istnieje przekonanie, że zatknięte za obrazy lub włożone do wazonów palemki te chroniły mieszkanie przed nieszczęściem i złośliwością sąsiadów. W naszym mieście od kilkunastu lat zwyczajem jest urządzenie konkursu na największą palmę. Wyobraź sobie, że sięgają one kilku metrów!

Pisanki są zdobionymi, ugotowanymi jajkami, które my katolicy uważamy za symbol odradzającego się życia. Zdobią one wszystkie polskie stoły podczas uroczystego śniadania wielkanocnego. Nie powinno ich zabraknąć w koszyku ze święconką w Wielką Sobotę. Razem z siostrą w Wielkim Tygodniu robimy kilka pisanek. Powiem Ci, jak je przygotowujemy. Zanurzamy je w gorącej wodzie, w której wcześniej rozpuszczamy barwnik. Piękne kolory skorupki można uzyskać, stosując naturalne barwniki roślinne. Świeżo wyciśnięty, lekko zakwaszony sok z buraka barwi pisanek na różne odcienie różu i czerwieni, sok z jagód – na fioletowo, wywar z suchych łusek cebuli – na wszystkie odcienie ciepłej żółci aż do rudawego brązu, zaś woda, w której gotował się szczypiorek lub świeża zielona trawa – na zielono.

Niektórzy robią też wydmuszki. Wydmuszka to jajko, w którym nie ma zawartości. Usuwa się ją, robiąc dwie dziurki z obu stron. Jajka można też woskować. Jeśli na czystą skorupkę naniesiemy wzór z roztopionego wosku, a następnie zanurzymy jajo w roztworze barwnika, to zabarwią się tylko odsłonięte fragmenty skorupki. Części ukryte pod woskiem nie zmieniają koloru. Po wyjęciu jajka z kąpieli wystarczy zetrzeć wosk miękką ściereczką. Ostatnio modne są tzw. pisanki „oklejanki”. Na jajka przykleja się wzory z barwnego papieru, lub cienkiego materiału o ciekawym wzorze.

Jak widzisz, Karolu, tradycje związane z naszymi świętami są bogate. Musisz wiedzieć, że długo mógłbym pisać o tym. Niestety, czas już na naukę, bo jutro z języka polskiego zapowiedziano sprawdzian.

Dziękuję Ci za życzenia i pozdrowienia. Pozdrów również swoich Rodziców i swoją Siostrę. Wszystkiego dobrego!

Twój dobry przyjaciel Mateusz.



Lukasz Jakubas kl. 6 a

Sanok, 24 marca 2010 r.

Dear John!

Hi! How are you? Yyy, co ja piszę, przecież Ty rozumiesz po polsku! Ale przejdźmy do rzeczy: Jak wiesz, już niedługo Wielkanoc, więc przygotowania idą pełną parą. W tym liście chciałbym jednak opowiedzieć Ci o polskich zwyczajach związanych ze Świętami Wielkiej Nocy.

Jest ich bardzo wiele. Są mniej lub bardziej znane, np. koszyczek ze święconką lub palma wielkanocna. Natomiast tzw. „pogrzeb żuru” lub „wieszanie śledzia” są prawie zupełnie nieznane. Dopiero niedawno usłyszałem o tych dwóch zwyczajach i byłem wielce zdziwiony. Napiszę Ci o nich pokrótce.

Na pierwszy ogień idzie tzw. palemka, którą święci się na tydzień przed Wielkanocą, w Niedzielę Palmową. Święci się ją na pamiątkę wjazdu Chrystusa do Jerozolimy. Dodam jeszcze, że palmy występują w przeróżnych rozmiarach, więc nie powinieneś być zdziwiony, gdy zobaczysz kilkunastocentymetrowe palemki, a obok nich gigantyczne, czterometrowe palmy.

Następne jest wielkanocne jajo. Każdy słyszał o pisance lub kraszance, więc na pewno i Ty. Jajko to symbol życia oraz odrodzenia. A jak wiadomo, Jezus Chrystus też w pewnym sensie się odrodził. Dlatego kolorowe jajeczka lądują często w koszyczku...

Koszyczek (lub kosz) ze święconką. Otóż Wielka Sobota jest dniem oczekiwania na zmartwychwstanie Pana Jezusa. W koszyczku muszą znaleźć się:

- baranek (symbol Chrystusa Zmartwychwstałego),
- mięso i wędliny (oznaka kończącego się postu),
- chrzan – gdyż „gorycz męki Pańskiej i śmierci została zwyciężona przez słodycz zmartwychwstania”,
- masło, oznaka dobrobytu,
- i w końcu jajka (lub pisanki) – symbol nowego życia.

Święconki spożywa się podczas tradycyjnego śniadania wielkanocnego po rezurekcji (uroczystej mszy wielkanocnej).

Teraz nadchodzi pora na te niezbyt znane, a po części też zabawne tradycje. Mogę je opisać w jednym akapicie, gdyż są one właśnie mało znane. Wieszanie śledzia – po prostu przybija się śledzia do drzewa na znak, że już jest koniec Wielkiego Postu. Podobnie jest z pogrzebem żuru. Zupę tą je się w Wielkim Poście, więc na jego koniec rozlewa się żurek na ziemi.

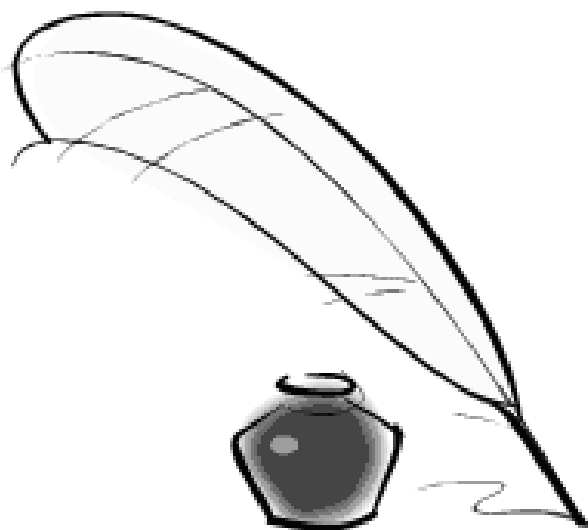
Myślę, że w tych kilku zdaniach udało mi się przybliżyć Ci obrzędy Świąt Wielkiej Nocy. Korzystając z okazji, chciałbym złożyć Ci tradycyjne życzenia:

**Zdrowych i wesołych Świąt Wielkanocnych,
pełnych miłości i nadziei.**

Smacznego święconego jajka.

Z radosnym Alleluja!

Pozdrawiam Cię serdecznie,
Łukasz



W BAŚNIACH WSZYSTKO JEST MOŻLIWE

Za górami, za lasami...



Alicja Musiałek kl. 4a

Dawno, dawno temu, za górami, za lasami, mieszkała dziewczynka o imieniu Nadzieja. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że posiadała ona jedną cechę, której nie posiadał żaden człowiek - była zawsze wesoła.

Pewnego razu Nadzieja wybrała się z mamą do sąsiadującego z jej małą wioską miasteczka o nazwie Smutkowo. Jakież było jej zdziwienie, gdy zobaczyła ciemne domy, smutne zwierzątka i dzieci, które nie potrafiły się uśmiechać. Zapytała mamę, dlaczego ludzie w tej wiosce tak się zachowują. Mama odpowiedziała, że taka już ich natura, jednak należałoby zmienić tych ludzi, bo cóż z takiego życia, kiedy zawsze jest wszystkim smutno.

Nadzieja ze swoim szczerym uśmiechem zaczęła odwiedzać sklepy, szkoły, małe place zabaw, na których dzieci nie bawiły się, lecz siedziały smutne na ławkach. Wszędzie, gdzie się pojawiała, natychmiast robiło się jasno, ciepło i stawał się cud, ponieważ na twarzach ludzi pojawiał się uśmiech. Po całym dniu obecności Nadziei w miasteczku Smutkowo, coraz częściej widać było, jak ludzie cieszyli się z najmniejszych przyjemności, a nad miasteczkiem rozblęśla piękna kolorowa tęcza.

Od tej pory wszyscy w miasteczku szczęśliwi, a jego nazwę zmieniono ze Smutkowa na Szczęśliwą Osadę.



Agnieszka Sokołowska kl. 4a

„Pokonanie smoka przez rycerza Bonifacego”

Dawno, dawno temu, za górami, za lasami był pewien zamek, w którym żyli król i królowa.

Król był uczciwy i miał dobre serce, zaś królowa była mądra i miła. Ta para królewska miała córkę, która nazywała się Amelia.

Wśród królewskich dworzan ukrywał się brat króla Ahmed. Był on zły i okrutny. Nosił czarną pelerynę z rysunkiem szarego nietoperza.

Pewnego dnia Ahmed poszedł do króla i rzekł:

- Jeśli nie oddasz mi swego tronu, to za pomocą smoka zniszczę królestwo.

Król już miał powiedzieć, że się zgadza, ale w ostatniej chwili poprosił brata, żeby dał mu 3 tygodnie do zastanowienia się.

Ahmed zgodził się i poszedł do domu, a król powiesił ogłoszenie:

OGŁOSZENIE

Zatrudnię jednego rycerza, żeby zabił smoka, który mieszka w jamie obok spalonego lasu. A kto to uczyni, ten dostanie rękę mojej córki i zostanie przyszłym królem mego królestwa.

Podpisano - Król

Zaczęli zjeżdżać się rycerze, którzy udawali się do jamy smoka, ale nikt z ich nie wracał żywy. Król załamał się i już miał się poddać, kiedy przyszedł rycerz o imieniu Bonifacy.

Kiedy Bonifacy spytał go, co się dzieje. Król odpowiedział mu:

- Mam brata, który z pomocą swojego smoka chce zniszczyć całe królestwo!

Bonifacy ruszył w drogę. Gdy doszedł do jamy, zobaczył wielkiego, zielonego smoka, który ze złością na niego patrzył.

Kiedy potwór zaatakował Bonifacego, ten wziął swój miecz, wbił go napastnikowi w brzuch i go zabił. Kiedy powrócił do zamku, wszyscy witali go jak bohatera.

Wraz ze smokiem

zginął także Ahmed, którego życie było ściśle związane z życiem bestii.

Król powiedział do Bonifacego:

- Zabiłeś smoka, więc spełniam obietnicę - oddaję ci moją córkę Amelię.

Kiedy Bonifacy to usłyszał, bardzo się ucieszył. Na następny dzień odbyły się zaręczyny.

Wkrótce król wyprawił wesele i wszyscy żyli długo i szczęśliwie.



Aleksandra Łyko kl. 4a

„Lucefusz i magiczny długopis”

Dawno, bardzo dawno temu, żył sobie Lucefusz. Był on synem króla Lena i królowej Eustafiny.

Pewnego dnia, gdy Lucefusz jak zwykle ubierał się w swoje szaty, do jego pokoju wleciał mały ptakotek. Na początku młodzieniec myślał, że to latający kret. Ale po chwili zorientował się, że przecież krety nie latają, więc to musiał być ptakot. Nie dodałam, że w ich mieście tylko ptakoty latają, a ptaki siedzą na grzędzie obok kur i gdaczą. Ptakot miał czarną sierść w białe ciapki.

„Szklane”, niebieskie oczy podkreślały jego niezmierny urok.

- Co ptakotku chciałeś? Nie widzisz, że się ubieram?

- Miauu...Dowiedziałem się, że jesteś bardzo mądry i chcę, abys odpowiedział mi na pytanie.

- Słucham.

- Miauu...Ile sklepów jest w mieście Milain?

- No.. To jest pytanie...Poczekaj chwileczkę.

- Miauu... Dobrze.

W tym czasie Lucefiusz poszedł do swojej komnaty i z biurka wyciągnął długopis. Wyglądał on zwyczajnie, ale tak naprawdę był to wyjątkowy egzemplarz. Posiadał on magiczną moc. Kiedy się nim zaczynało pisać jakieś pytanie, natychmiast ręka sama rwała się do pisania odpowiedzi. Nikt nigdy nie zorientował się, że to czarodziejski długopis, ponieważ wyglądał jak wiele innych, leżących na półkach w sklepie. Był koloru czarnego, miał srebrną skuwkę i złoty napis „Gold”. Gdy Lucefiusz napisał pytanie, które zadał mu ptakot, od razu z radością wykrzyknął:

- 111 i jeden supermarket!

- Dziękuję ci mądry człowieku! To była naprawdę wyczerpująca odpowiedź. Ptakot miał ochotę na dłuższą rozmowę, ale kiedy ujrzał twarz siostry Lucefiusza, przeraził się jej brzydota i odleciał.

- Co ty tu w ogóle robisz?!

- Jaa... Przyjechałam! Nie widać?

- Ale matka nic mi nie mówiła, że przyjedziesz.

- Przyjechałam, aby zrobić reportaż o waszym mieście, ale widzę, że ktoś tu mnie wyręczy z mojej pracy.

- O czym ty mówisz?! Dlaczego ja mam zrobić za ciebie całą robotę?!

- Jeżeli nie przystaniesz na moją propozycję, to cały świat dowie się o tym, co przed chwilą widziałam.

Lucefiusz zbladł i ugięły się pod nim nogi. Wiedział, że to już koniec przygody z jego czarodziejskim długopisem. Tak naprawdę Lucefiuszowi nauka sprawiała wiele problemów. Dopiero, gdy znalazł magiczny długopis, dla innych stał się geniuszem. Zastanawiał się przez dłuższy czas, jak on, taki „bezmózg”, może opisać miasto bez swojego długopisu. Pomyślał chwilę i wymyślił, że przecież w jego mieście mieszka mgr Eugeniusz Piana i on mógłby ułożyć ten opis, a w zamian za to da mu 6.000 brylantów. Lucefiusz musiał wyjść na dwór i pooddychać świeżym powietrzem. Uspokajała go niezmierna cisza. Zaczął iść prze siebie, aż doszedł do miasta. Nocą miasto wyglądało przepięknie i malowniczo. Było tam dużo kolorowych kamienic, koło których rosły piękne, stare dęby. Każda kamienica była ogrodzona drewnianymi płotkami, a dookoła zieleniły się trawniki. Wszystkie uliczki były oświetlone latarniami, a w centrum stała fontanna pełna różnych kamieni. Gdy doszedł do domu pana Eugeniusza, zapukał i po chwili mgr Piana stał w drzwiach. Pan zaprosił go do środka, gdzie omówili całą sprawę. Wszystko było po jego myśli. Opis miasta za 2 godziny był już gotowy. Lucefiusz szczęśliwy wrócił do domu. W drodze jednak postanowił, że już nigdy nie użyje zaczarowanego długopisu, bo jest to nie w porządku wobec innych. Oddał opis miasta swojej siostrze i po dłuższej rozmowie z nią uzgodnili, że pojedą razem nad rwącą rzekę i tam wrzucą magiczny długopis.

Była to jego jedna z najśluszniejszych decyzji w życiu. Bo przecież nie można oszukiwać innych. Prawda?!



Anna Stasiczak kl. 4a

Dawno, dawno temu, w pewnym mieście, stał śliczny, złoty zamek.

Był on otoczony starymi, olbrzymimi jabłoniami. W tym przepięknym zamku mieszkała księżniczka Elektra wraz z rodzicami.

Elektra była dziewiętnastoletnią złotowłosą księżniczką. Ubierała się w czarne, niebieskie lub szafirowe suknie. Na szyi księżniczki wisiał złoty naszyjnik z literą E.

Pewnego dnia do zamku przyjechali ciocia i wujek Elektry. Ciocia była czarodziejką i nazywała się Mirinda, zaś wujek Harold był poszukiwaczem przygód. Wieczorem zaczęła się ucza z okazji 20 urodzin Elektry. Księżniczka

dostała wiele prezentów. Goście świetnie się bawili. Gdy ciocia Mirinda miała jej dawać prezent, wszystkie światła w sali zgasły i do środka weszła ciocia Franki. Była bardzo zła, bo jej nikt nie lubił, gdyż była z rodziny Frankensztajnow. Powiedziała do Elektry:

- Ode mnie dostaniesz najgorszy prezent.

Elektra na to:

- Jaki jest ten najgorszy prezent?

-Taki panienko, że za 3 dni zachorujesz na ciężką chorobę i umrzesz, a z tobą umrze całe miasto – to powiedziawszy zniknęła w gęstej mgle. W tym momencie ciocia Mirinda dała jej cenniejszy niż złoto prezent. Powiedziała do dziewczyny:

- Nie umrzesz, ale zaśniesz, a całe miasto będzie smutne.

Rzeczywiście, Elektra w 3 dni po urodzinach się nie obudziła. Miasto było smutne i znudzone. Mieszkańcy zamknęli bramę i dookoła grodu postawili ufoludki. Pewnej nocy książe Sheng, jadąc do państwa Wilo, zauważył ufoludki, stojące na straży. Zapytał je:

- Czego tak pilnujecie?

Odpowiedziały mu:

- Pilnujemy wejścia do zamku, gdzie śpi chora księżniczka Elektra.

- Mogę ją zobaczyć?

- Nie!

Zaproponował, że da im scyzoryk, jeśli go wpuszczą. Ufoludki się zgodziły.

Książe, gdy zobaczył Elektrę, wyjął różdżkę i wypowiedział zaklęcie. Nagle księżniczka się obudziła! Mieszkańcy miasta nie byli już smutni.

Dwa dni później Elektra wyszła za Shenga i żyli długo i szczęśliwie.



Julia Futyma kl. 4a

„Baśń z Królestwa Nuk”

Dawno temu, w czasach bardzo różniących się od naszych, stało królestwo Nuk, które niecałe sto dwadzieścia osiem lat później zostało dokumentnie zniszczone przez starożytnych Majów.

Było tam mnóstwo lasów, rzek i pól. Na jedynym nagim wzgórzu w okolicy stało zamczysko, nad którym ciążyła prastara zła wróżba. W państwie panowało chwilowe bezkrólewie. Ludzie patrzyli z trwogą i niepokojem na dawną siedzibę cesarzowej Andrei...

W królestwie była pewna osóбка – czternastoletnia Melissa, która koniecznie chciała się tam dostać. Miała ciemne włosy i czarne, sarnie oczy. Jej usta nie oddawały prawdziwej natury panienki - były blad różowe, wąskie i nader

poważne, a dziewczyna zawsze postępowała w nieprzemyślany sposób. Ubierała się w piękne, cygańskie suknie. Nie była odważna, potrzebowała kogoś do pomocy, nie przekroczyłaby progu zamku sama. W życiu! Wywodziła się z bogatego rodu, ale ciekawiło ją znaczenie słowa „skarb”. Co się mogło za nim kryć? Złoto? Klejnoty? Biżuteria?...

Na razie jednak schowała marzenia do kieszeni i poszła na pokaz najstarszej broni w królestwie. Oglądała z zachwytem miecze, łuki i co tam jeszcze było, gdy nagle jeden ze strażników rzucił się na swojego towarzysza, jakby chciał go rozszarpać gołymi rękoma. Wszyscy, oprócz Melissy, stłoczyli się w jednym miejscu. Rozpoczęła się bitwa. Ludzie obrzucali się plugastwami i przekleństwami. Między mieszaniną głosów dało się słyszeć jęki, płacz...

Gdzieś z tłumu „wypelzła” poszarpana i pokryta paskudnymi sińcami rówieśnica naszej bohaterki. Miała ciemnorude włosy, jej oczy płonęły nienawiścią do wszystkich tam zebranych. To, w jaki sposób się ubierała, świadczyło o tym, że ona i Melissa pochodzą z dwóch różnych światów: miała na sobie długą, chłopską koszulę, prawie całkowicie zakrywającą przykuse rybaczki. Gdy tylko popatrzyła na Melisę, uśmiechnęła się złowieszczo. Marzenia o znalezieniu skarbu znów ujrzały światło dzienne.

„Ta dziewczyna wygląda, jakby nie jadła od bardzo dawna. Dlaczego się na mnie gapi? Ona mi pomoże”.

Podeszła do rudej i bardzo dokładnie, w miarę jak najjaśniej wytłumaczyła jej, jak bardzo potrzebuje jej pomocy. Męczyła ją tak długo, aż tamta w końcu się zgodziła.

- Dzięki, ale fajnie!

- Może.

- Chodź!

Pobiegła przed siebie, ale to bardziej przypominało trucht w jej nowych najmodniejszych sandałkach. Nieznajoma, która była bosa, popędziła przed siebie niepohamowanie szybko, niczym leopold. Gdy Melisa ją dogoniła, tamta była już przy wrotach zamku i waliła głową w mur.

- Wreszcie jesteś!

- Biegasz o wiele za szybko.

- Dziękuję! – odparła rudowłosa, otwierając drzwi.

Kiedy weszły do środka, znalazły się w pięknie ozdobionej sali tronowej i zaczęły ją przeszukiwać. Wtedy sarnioka zapytała:

- Jak się nazywasz?

- Nie wiem. Nie znam też swojego pochodzenia, rodziców, ani wieku. Moim celem w życiu jest się tego dowiedzieć.

Nagle równocześnie zauważyły wąskie schody. Zeszły do podziemi, gdzie znalazły pomieszczenie wielkości przeciętnego salonu. Były tam drzwi otwarte na oścież... Nim jednak zdążyły do nich dojść, wyrosła przed nimi postać w fioletowych szatach. Na jej brzuchu widniał napis: „*Ciocia Petunia*”. Kobieta

wyciągnęła ręce przed siebie w przedziwnym geście. Melissa poczuła się nieswojo. Mdliło ją, miała zawroty głowy, nie mogła ustać na nogach. Powoli traciła władzę w kończynach. Bezimienna wyciągnęła z kieszeni małą buteleczkę. Była zrobiona z białego szkła, miała etykietkę z trupią czaszką ze skrzyżowanymi piszczelami (dawniej symbol ten oznaczał władzę nad wszystkim!), w środku zaś widniał zielony płyn.

Wylała zawartość na wiedźmę. Mieszkanca zamku zaczęła się rozmyzywać, a chwilę później, w miejscu gdzie stała, unosiła się liliowa mgła.

Melissa odwróciła się do swojej towarzyszki i przechwyciła przedmiot, który trzymała w rękach.

- Ty pijesz?!

Nie uzyskała odpowiedzi, ponieważ jej rozmówczyni zapatrzyła się na kosztowności, znajdujące się po drugiej stronie drzwi. Pobiegły tam i zaczęły pakować do toreb monety, klejnoty i inne wszelkiego rodzaju bogactwa.

- Może pojedziemy do Meksyku... - odezwała się w końcu kruczowłosa.

Niedługo potem dziewczyny wybrały się w podróż, czym zwróciły na siebie uwagę Majów*. Jak wspomniałam wcześniej, sto dwadzieścia osiem lat po tym zdarzeniu pojawili się przygotowani i uzbrojeni.

Niestety, zniszczyli też ślady po naszych bohaterkach, ale prawdziwa pamięć gości do dziś w legendach okolicznej ludności...

*Majowie tak naprawdę pochodzili z Meksyku.



Hubert Rybka kl. 4a

"Kraina Lilipiutów"

Dawno, dawno temu, gdzieś pośrodku Trójkąta Bermudzkiego, kwitło cesarstwo Lilipiutów. Pewnego dnia na ową wyspę przypląnął rozbitek- olbrzym. Liliputianie bali się go.

- Uwaga, może być groźny! - wrzeszczał król.

- Nie bójcie się, przybywam w pokoju - powiedział olbrzym.

- Witaj w cesarstwie lilipuckim, olbrzymie! - przywitał rozbitek król.

Król podjął olbrzymia ucztą.

- Jak się tu znalazłeś?- zapytał przybysza gospodarz.

- Leciałem moją awionetką, ale trafiła mnie chińska rakietka i spadłem do morza. - odrzekł olbrzym.

Następnego dnia król odebrał e-mail, że Lilichińczycy wypowiadają mu wojnę.

- Pomóż nam pokonać wroga!- prosił olbrzymia król.

Olbrzym się zgodził.

-Wrogowie na horyzoncie!
- Zamknąć bramę, wszyscy na stanowiska!- krzyczeli obrońcy cesarstwa.
- Teraz twoja kolej olbrzymie!
- Dobrze- odpowiedział wielkolud. Wszedł do wody, ze starych kabli telefonicznych zrobił liny, przyczepił je do okrętów wroga i odciągnął je do Ameryki.
- Co możemy dla ciebie zrobić, wybawco?- zapytał wdzięczny król.
- Zbudujcie mi luksusowy liniowiec, żebym mógł wrócić do domu - odparł olbrzym.
Gdy okręt był już gotowy, olbrzym obiecał, że weźmie paru Liliputian ze sobą.
- Ale nie byłoby miejsca na basen - pomyślał z żalem.
Niestety, na dzień przed wyruszeniem w drogę przeziębził się, więc i tak nie mógł kąpać się w okrętowym basenie, toteż wziął ze sobą kilku Liliputian.
Niestety, okręt zatonął i musieli się ratować na tratwie. Jednak później morze było już spokojne i szczęśliwie dopłynęli na miejsce.



Paulina Guła kl. 4b

„Kraina Liliputów”

Pewnego dnia w krainie Liliputów wylądował olbrzym. Przestraszone stworki zaczęły o nim rozmawiać:

- Ale olbrzym!
- Może być groźny!
Olbrzym obudził się i powiedział:

- Nie bójcie się.

Potem zdziwiony zapytał:

- Gdzie ja jestem?
- To kraina Liliputów. - odrzekły.

Olbrzym poszedł do królowej i usłyszał słowa:

- Pomóż nam olbrzymie! Wróg jest u naszych brzegów!

Przyjazny olbrzym postanowił im pomóc. Pociągnął żaglówki na linie daleko, daleko i uratował krainę Liliputów.

Małe ludziki chciały się odwdziżyć, ale nie wiedziały jak, więc zapytały:

- Ocaliłeś nas. Jak możemy ci pomóc?
- Chcę wrócić do domu. - odpowiedział.

Liliputy w dowód wdzięczności zbudowały ogromną łódź dla olbrzyma.

- Zbudowaliśmy ci łódź.- powiedziały grzecznie.

Bardzo szczęśliwy olbrzym szybko wszedł do niej i pożegnał się słowami:

- Dziękuję! Do zobaczenia!!!



Malwina Piecuch kl. 5a

Pewnego dnia na moim podwórku bawiło się dwóch chłopców. Bawili się wesoło, w najlepszych humorach jeździli sobie na rowerach.

W końcu zmęczeni się jazdą i postanowili pobawić się nad wodą. Wymyślili zabawę polegającą na tym, aby wyciągać z jeziora jak najwięcej roślin.

Po pewnym czasie w wodzie nie było już niczego. Wreszcie skończyli zabawę i zaczęli liczyć punkty – rośliny. Nie mogli zorientować się, która roślina do kogo należy. Rozpoczęła się kłótnia. Szturchali się, bili, aż w końcu rozeszli się, zostawiając wyrzucone rośliny na brzegu.

W nocy była pełnia księżyca. Rośliny zaczęły się ruszać.

Kwiaty, wyciągnięte z wody, zaczęły mówić i smuć się. Pewien narcyz zobaczył je i uzalił się nad nimi. Wołał inne narcyzy, ale żaden nie chciał pomóc.

Niedaleko kręcił się kot, rudy i puchaty. Gdy zobaczył biedne rośliny wodne, popatrzył na nie smutno i zapytał, co się stało. Jeden z kwiatów odpowiedział, że bawili się tu chłopcy i wyciągnęli je z wody, a na koniec pokłócili się i odeszli, zostawiając je. Kot posmutniał bardziej i zaczął się nad czymś zastanawiać. W końcu gdzieś pobiegł. Po chwili wrócił - miał ze sobą podbierak. Za nim szedł drugi kot, był to jego dobry przyjaciel. Podeszli do kwiatów i powiedzieli im, co wymyślili.

Trzymali podbierak i próbowali przenosić kwiaty do sieci. W końcu udało im się pozbierać wszystkie rośliny. Po chwili kwiaty były już w wodzie.

Podziękowały kotom i pożegnały się z nimi.

Na następny dzień chłopcy znowu spotkali się nad wodą. Zobaczyli, że kwiaty są na swoim miejscu. Nie wiedzieli, jak to się stało, lecz zawstydzili się, że tak poturbowali biedne rośliny.

Od tej pory już nigdy nie wymyślali takich bezsensownych zabaw.

Historie rodzinne



Julia Futyma kl. 4a

„Historia mojej rodziny”

Nazywam się Julia Futyma. Historia mojej rodziny jest niezwykle ciekawa...

Nasza mama była wychowywana u cioci – czarownicy, która trzymała ją na zaczarowanym zapleczu swojego sklepu rybno – obuwniczego. Można tam było kupić wszystko: od pstrągów po langusty, od japonek po glany, wszystko to było bardzo tanie. Ciotka miała na imię Eulalia, a wokół jej sklepu krążyło tyle plotek na temat zaplecza, iż musiała uważać na włamywaczy i pilnować klientów.

Lecz, na szczęście, nasz tata także dowiedział się poprzez pocztę pantoflową o tym, że stara wiedźma Eulalia więzi śliczną swą siostrzenicę. Tak więc, uzbrojony w łańcuch i patelnię, wyruszył „na zakupy”. Gdy tylko znalazł się na miejscu, podbiegł od tyłu do właścicielki (ciotki) i ogłuszył ją patelnią, a następnie związał łańcuchem. Kiedy odszukał drzwi do zaplecza, bardzo się zmartwił, bo żeby wejść, musiał rozwiązać działania matematyczne. Mimo to tata nie dał się ogłupić. Krzycząc „Kieszień!” wyciągnął z niej kalkulator. Wynik zaraz był gotowy.

Rodzice postanowili się pobrać, ale najpierw mama przymierzyła buty, a tata usmażył im rybę na patelni...

Chociaż od tych wydarzeń minęło wiele czasu, a na świecie jestem już ja i moja siostra, w naszej rodzinie dzieją się rzeczy równie magiczne i niewytłumaczalne.

A co do naszej mamy - na pewno też jest wiedźmą – tyle że taką od słowa „wiedzieć”!...



Aleksandra Łyko kl. 4a

Nazywam się Ola Łyko. Historia mojej rodziny jest niezwykle ciekawa, zresztą sami posłuchajcie.

Zacząło się tak: było ciemno. Księżyc, czyli mój tata, mocno świecił, a Gwiazda, czyli moja mama, patrzyła na niego co noc z myślą, że może kiedyś będzie mogła go dotknąć. Inne gwiazdy przepychały się jedna przez drugą, ponieważ każda z nich chciała się umówić z Księżycem. Był tak przystojny, że wszystkie się o niego kłóciły. Moja mama też go uwielbiała, ale tylko ona nie okazywała tego.

Kiedy przyszedł czas, aby w końcu wybrać Gwiazdną Miss, wszystkie gwiazdy pięknie się ubierały, malowały, a moja mama – jako jedyna - przyszła na wybory ubrana w swój codzienny strój. Gdy tylko weszła do sali, w której odbywały się pokazy, wszystkie gwiazdy wołały: „Wynocha brzydulo! Jesteś ubrana jak strach na wróble!”. Wtedy mój tata zaprotestował przeciwko takiemu traktowaniu mojej mamy. Powiedział, że bez względu na wszystko, to właśnie ona zostanie Gwiazdną Miss, a zarazem jego żoną. Moja mama była zaskoczona, ale w głębi ducha wiedziała, że przecież jest piękna.

W tydzień po wyborach odbył się ślub i huczne wesele moich rodziców. Nikt się nie spodziewał, że młodą parę odwiedzi wróżka. Wszyscy wręczali im prezenty, aż w końcu nadeszła kolej na wróżkę. Powiedziała im, że nie ma dla nich prezentów, ale za to da im coś, czego nikt inny im nie podaruje, a mianowicie zamieni ich w ludzi.

Gdy już zamieszkali na ziemi, tato zbudował dom. Później mama urodziła mnie, a niedługo potem - mojego brata.

Żyjemy teraz sobie na Ziemi i nie wiem, kim bym była, gdybym urodziła się jako córka Księżycy...

A może Wy mi powiecie?



Przemysław Pelc kl. 4a

Nazywam się Przemysław Pelc. Historia mojej rodziny jest niezwykle ciekawa.

Mój tata był wielkim podróżnikiem. Wszystko działo się w starożytnym Egipcie, gdy krainą władał mój wujek Leszek...

Pewnego dnia tak gorąco było,

że się wszystkim pić chciało.

Mój tata w jedną stronę

poszedł do piramidy, by znaleźć żonę.

Ach, ależ on był dzielny, bo w tej piramidzie mumii stado.

Ale w jednej trumnie znalazł to, co się w życiu opłaca -

Kobietę - moją mamę! Aż się ze szczęścia rozplakał.

Wziął ją na ręce i szybko z piramidy!

Jednak okazało się, że jej brat to faraon chciwy.

Więc żeby swoją siostrę pozwolić za mąż wydać,

musiał z tatą trochę wujek pogadywać.

Zgodził się wujek wreszcie

i już w następny dzień wesele było

i wszystko jak należy się odbyło.

Po niemal roku Waldemar brat się urodził, siostra Renia,

brat Tomek, siostra Asia i ja!

Ależ się rodzice ucieszyli -

przecież piątkę dzieci nabyli!

Wrócili do kraju szczęśliwi i zdrowi.

A na pamiątkę mój brat stary

dzisiaj swoim dzieciom opowiada te "koszmary".

TO MOGŁO SIĘ WYDARZYĆ

Sam na bezludnej wyspie



Piotr Fic kl. 4b

Płynąłem przez ocean ogromny statkiem. Był tak wielki, że mieściły się w nim restauracje, kasyna, kina a nawet baseny. Wcale się tam nie nudziłem, cały czas miałem co robić. Lecz pewnego dnia przydarzyła mi się ciekawa przygoda.

Na oceanie szalał sztorm, wszyscy pasażerowie siedzieli w kajutach. Statek kiwał się na boki, a pokład zakrywały fale. Nagle poczułem bardzo silne uderzenie, a po chwili syrenę alarmową. Zbiegłem na pokład. Okazało się, że wszyscy muszą opuścić statek. Niestety, dla mnie zabrakło szalupy ratunkowej. Skoczyłem do wody i chwyciłem się dryfującej, metalowej beczki. Fale cały czas uderzały we mnie. Topornie stawiałem im czoła i kurczowo trzymałem się beczki. Wtem uderzyła we mnie ogromna fala.

Nagle poczułem pod sobą ciepły piasek. Okazało się, że straciłem przytomność i dopłynąłem na bezludną wyspę. Po części się cieszyłem, ale teraz stanąłem przed wyzwaniem. Musiałem przetrwać na bezludnej wyspie. Nie wiedziałem, co zrobić najpierw. Uznałem, że powinienem zbudować sobie szałas. Była to wyspa tropikalna, więc poszukałem bambusów, lian i dużych liści. Najpierw pięć bambusów ustawiłem obok siebie i powiązałem lianami, a następnie zatrzasnąłem je pomiędzy dwoma drzewami. Szósty bambus zatrzasnąłem powyżej tych pięciu i przywiązałem do niego liście. Teraz miałem już miejsce do odpoczynku, które chroniło mnie przed deszczem i słońcem. Jednak chciało mi się pić. Zauważyłem, że zostało mi jeszcze kilka liści. Ustawiłem je pod dachem szałas, aby woda spływająca z niego kapiała do ich wnętrza. Oczywiście żeby to zadziało, musiał padać deszcz. Byłem też głodny, musiałem coś upolować. Zaostrzyłem ostrym kamieniem koniec bambusa i wyruszyłem w ocean. Po chwili upolowałem dwie ryby, oczywiście jadalne. Nazbierałem suszonych liści i pocierając kamień o kamień rozpałiłem ognisko. Dodałem jeszcze trochę gałęzi i już miałem duże ognisko. Na długi patyk nabiłem ryby i usmażyłem je. Gdy się posiliłem, mogłem wybrać się na rozpoznanie wyspy. Okazało się, że to mały teren, bez wszelkich oznak życia. Wróciłem do swojego obozu, gdyż zaczęło się ściemniać. Długo nie mogłem zasnąć, moje łóżko nie było zbyt miękkie. Przez noc padał ulewny deszcz, więc w końcu zdobyłem trochę wody. Gdy ugasiłem pragnienie, byłem gotowy, aby zrobić cokolwiek, żeby się uratować. Musiałem zbudować ogromne ognisko, dużo

większe od poprzedniego. Ustawiłem kilka patyków w stożkowy kształt, do środka wsadziłem suche gałęzie i liście, a na nich ułożyłem świeże liście, aby dały ciemny dym, widoczny z daleka. Następnie rozpałem je i ułożyłem z kamieni napis „SOS”. Teraz czekałem na pomoc. Nagle dostrzegłem płynący w moim kierunku statek.

Byłem uratowany i przeżyłem przygodę życia.



Bartłomiej Czerwiński kl. 4b

Pewnego lata mój wuj podróżnik zabrał mnie na jedną ze swoich wypraw na Morze Karaibskie. Płynęliśmy starym kutrem. Nagle zerwał się sztorm, który przewrócił kuter i wszyscy wpadliśmy do wody.

Obudziłem się na plaży. Obok mnie leżała skrzynia z łodzi, która zatonała. Otworzyłem ją i moim oczom ukazał się niespodziewany widok. W skrzyni były zapalki, finka, zapas jedzenia, raca, garnek, siekierka, namiot i śpiwór.

Rozpałem ognisko i usmażyłem kawałek kielbasy. Następnie rozejrzałem się po wyspie, chciałem znaleźć miejsce na namiot. Kiedy tak szukałem, zauważyłem stado dzikich kóz oraz dziko rosnącą kukurydzę. Po chwili znalazłem idealne miejsce.

Było tam źródło na wzgórzu, jaskinia, a wszystko otaczał niewysoki murek z kamienia, usypanego naturalnie. Rozłożyłem namiot, rozpałem ognisko i poszedłem poszukać kukurydzy i owoców. Chciałem zapolować na kozy i złowić ryby.

Żyłem tak tydzień. Pewnej nocy usłyszałem syrenę kutra. Wskoczyłem z namiotu najszybciej jak umiałem i zacząłem wystrzeliwać race. Zauważyli mnie ludzie na statku i spuścili łódź ratunkową. Wskoczyłem do niej bardzo szybko.

Na statku spotkałem mojego kochanego wujka i opowiedziałem mu całą historię.

Na szczęście wszystko dobrze się skończyło...



Michał Polański kl. 5b

Zdarzyło się to pewnego razu w Tatrach. Co prawda, ta historia nie jest do końca prawdziwa, ale miejmy nadzieję, że nikogo nie spotka coś podobnego.

Grupa turystów z Warszawy, z zaplanowaną na kilka dni trasą wycieczki, wybrała się w Tatry.

Pierwszego dnia zobaczyli Wodogrzmoty Mickiewicza i Morskie Oko. Tam zatrzymali się w schronisku na noc. Pod wieczór pogoda była ładna, więc ustalili, że rano wyjdą na zaplanowaną wyprawę na Rysy.

Wczesnym rankiem spakowali plecaki i udali się na szlak. Początkowo wszystko szło dobrze. Turyści wesoło żartowali i podziwiali otaczające ich góry. Ale w górach pogoda była zmienna. Gdy dotarli do Czarnego Stawu, nagle rozpuściła się wichura. Niebo przykryły czarne chmury, z których sypał się grad piorunów. Deszczowa woda przemoczyła wszystkie ich rzeczy. Chłopcy nie wiedzieli co robić. Z czasem burza narastała. Wiatr i deszcz były jeszcze bardziej dotkliwe niż wcześniej, a pioruny były oślepiającym blaskiem. Szukając schronienia w szczelinie skalnej, turyści pośliznęli się i jeden za drugim wpadli do potoku. Po deszczu przybrał on postać rwącej rzeki. Przerażeni wołali o pomoc, ale lodowata woda zalewała im twarze i zagłuszała wszystkie wołania. Jeden z chłopców uchwycił się kurczowo korzenia kosodrzewiny rosnącej nad potokiem. Jednak niedalekie uderzenie pioruna tak go przeraziło, że puścił się i ponownie wpadł do wody. Przed wodospadem strumień przegradzały głazy. Dzięki nim chłopcy wydostali się na brzeg. Zmarznięci i osłabieni dowlekli się do kosodrzewiny i oczekiwali na ratunek.

Po godzinie, na wpół przytomnych, odnaleźli ratownicy TOPR-u, których zaalarmowali pracownicy schroniska. Ratownicy przetransportowali chłopców do szpitala w Zakopanem. Tam otoczono ich opieką medyczną i poinformowano ich rodziców.

Tak skończyła się ta dramatyczna przygoda. Młodzi turyści na jakiś czas zrezygnowali z wycieczek w góry i z dreszczem wspominali burzę, która zaskoczyła ich w Tatrach.



Piotr Fic kl. 4b

Pewnego słonecznego i ciepłego dnia ja i mój brat bardzo się nudziliśmy.

Był to ładny dzień, więc chcieliśmy przeżyć niezwykłą przygodę. Nagle wpadłem na świetny pomysł, aby wybrać się na wycieczkę do pobliskiego lasu. Gdy mój brat to usłyszał, natychmiast zaczął się pakować, lecz nie było to takie proste - trzeba było skompletować wszystkie rzeczy. Gdy już się spakowaliśmy, wyruszyliśmy w drogę. W lesie poczuliśmy, że robi się chłodniej. Na szczęście zabraliśmy ze sobą ciepłe swetry. Po wejściu do lasu zrobiło się ciemno i strasznie, słyszeliśmy okropne odgłosy. Drzewa były ogromne, a co najgorsze - nad nimi zaczęły się gromadzić ciemne chmury, a my nie wzięliśmy ze sobą

płaszczy przeciwdeszczowych. Zaczęło grzmieć, pioruny rozjaśniały całe niebo, a do tego straszliwie łało. Zaczęliśmy szukać schronienia. Po przebiegnięciu krótkiego odcinka zobaczyliśmy jaskinię. Była ogromna i bardzo tajemnicza. Gdy do niej weszliśmy, w oddali pojawiło się małe światełko. Po zbliżeniu się do tego światełka zobaczyliśmy postać. Staaliśmy jak wryci - okazało się, że to jaskiniowiec! Okazał się być bardzo miły, mówił w naszym języku. Pozwolił nam usiąść przy ognisku i poczęstował jedzeniem. Zaprzyjaźniliśmy się z nim. Od tego czasu co tydzień odwiedzamy tego pana i razem spacerujemy po lesie.

Była to nasza najciekawsza przygoda w życiu.



Bartek Czerwiński, kl. 4b

Za górami, za lasami, w małym drewnianym domku na skraju lasu, mieszkał chłopiec z mamą i babcią. Po drugiej stronie rozległej polany stał dom przyjaciół chłopca i jego rodziny.

Pewnego słonecznego dnia, gdy mama chłopca wracała z zakupów, spotkała leśniczego:

- Dzień dobry, pani Jagodzińska! – powiedział leśniczy.

- Dzień dobry – odpowiedziała mama.

- A skąd to pani wraca? – zapytał leśniczy.

- Z zakupów – odpowiedziała.

- A czy słyszała pani o niedźwiedziu? – podobno grasuje po lesie i okropnie ryczy. Chyba jest chory i niebezpieczny. Proszę uważać! – ostrzegł poważnym głosem.

- Dziękuję za ostrzeżenie – powiedziała mama i odeszła.

W domu czekał na nią syn Ignasz. Razem z przyjacielem Adasiem próbowali zrobić ciasto na naleśniki, ale nie udawało im się. Wszędzie pełno było mąki. Mama zaproponowała, że sama zrobi ciasto, a chłopcy w tym czasie mieli nazbierać jagód do naleśników.

- Tylko uważajcie! W lesie jest wściekły niedźwiedź! Proszę, nie idźcie w głąb lasu - ostrzegła.

- Dobrze! – odrzyknęli chłopcy, wybiegając z domku.

- No to gdzie idziemy? – zapytał Ignasz.

- Znam fajne miejsce, pośpieszmy się – odpowiedział Adaś.

Gdy nazbierali już cały koszyk jagód i zawracali właśnie na znajomą dróżkę do domu, usłyszeli złowrogi ryk. Przestraszeni obrócili się i wtedy zobaczyli wielkiego niedźwiedzia. Coś było nie tak, zwierzę cierpiało! Nagle zwierz upadł, okropnie rycząc i zamilkł. Chłopcy zaczekali chwilę i podeszli powolutku.

- Zobacz! – wykrzyknął Ignasz pokazując na łapę niedźwiedzia.

- O rany! – On nie jest chory tylko ranny. Wdepnął w sidła i cały czas ma je na łapie.

- To co robimy?

- Może spróbujemy mu pomóc?– wyszeptał Adaś z trwogą w głosie.

- Spróbujemy – zgodził się Ignasz.

Chłopcy powolutku podeszli do niedźwiedzia. Delikatnie rozchylili sidła i uwolnili łapę misia. Niedźwiedź podniósł łeb i spojrzał na chłopców wzrokiem, który wyrażał ulgę i wdzięczność. Mimo to przestraszeni chłopcy, ile sił w nogach, uciekli w kierunku znajomej dróżki do domu. Niedźwiedź powoli odszedł w przeciwnym kierunku.

Gdy wrócili do domu, opowiedzieli mamie Ignasia o przygodzie w lesie. Mama nakrzyczała na chłopców, że tak narazili swoje życie, ale jednocześnie była dumna, że mają takie wrażliwe serca.

- Chłopcy, muszę przyznać, że mieliście dużo szczęścia – powiedziała mama.

- Tak, też tak myślimy – odpowiedzieli Ignasz i Adaś.

- Zapraszam na naleśniki z jagodami – uśmiechnęła się mama.

Wszyscy usiedliśmy przy stole, zajadając się naleśnikami, wspominaliśmy naszą niezwykłą przygodę w środku ciemnego lasu.

Straciłem czworonożnego przyjaciela



Bartłomiej Czerwiński, kl.4 b

Pewnego dnia, gdy robiliśmy z mamą zakupy, zobaczyliśmy, że po mieście chodzi bezpieczny pies. Zrobiło mi się smutno, gdy dostrzegłem, że jest brudny i zraniony w łapę. Zapytałem mamę, czy możemy tego pieska zabrać do domu. Mama chwilę się wahała, ale wreszcie zgodziła się i wspólnie z pieskiem wróciliśmy do domu. W mieszkaniu umyliśmy go. Mama obiecała, że jutro pójdziemy do weterynarza opatrzyć łapę i zaszczepić psa.

Następnego dnia spotkaliśmy się z lekarzem.

- Dzień dobry pani Czerwińska – powiedział lekarz.

- Dzień dobry – odpowiedziała mama.

- Czy mógłby pan opatrzyć i zaszczepić tego psa? – zapytała mama.

- Oczywiście – odpowiedział lekarz i zabrał się do pracy.

Gdy wróciliśmy do domu, postanowiłem nazwać tego psa „Waldus”. Od razu zaczął reagować na to imię. Polubiliśmy wspólne zabawy.

Jednak gdy pewnego razu wyszedłem z nim na spacer zobaczyłem, że na tablicy ogłoszeń wisiała kartka z powiadomieniem o zaginięciu psa. Na zdjęciu

był Walduś, mój piesek! Szybko wziąłem to ogłoszenie i schowałem je do kieszeni. W domu mama zapytała, dlaczego jestem smutny. Wtedy rozplakałem się i pokazałem jej ogłoszenie.

- Co to za ogłoszenie, synku? – zapytała mama.

- To ogłoszenie o zaginięciu Waldusia – odpowiedziałem jej.

- Przykro mi, ale musimy zadzwonić do właścicieli – oznajmiła.

- No dobrze – odpowiedziałem.

Wieczorem zjawił się mężczyzna ubrany w beżową kurtkę, koszulę w kratkę i w dżinsy.

- Dobry wieczór! – Czy to pani znalazła pieska z ogłoszenia? – zapytał nieznajomy.

- Tak – odpowiedziała mama.

W tej samej chwili z salonu wybiegł Walduś. Merdając ogonem pobiegł do chłopca, który stał obok mężczyzny.

- As! – zawołał chłopiec.

Zrobiło mi się smutno. Polubiłem pieska, a teraz okazało się, że ma inne imię i inny dom. Patryk, bo tak miał na imię chłopiec, powiedział, że mieszka na tym osiedlu co ja i że możemy wspólnie opiekować się Asem. Bardzo się ucieszyłem.

Będzie mi brakowało Waldusia, mojego czworonożnego przyjaciela. Dobrze, że mogę go chociaż widywać, no i poznałem nowego kolegę.

Moje spotkanie ze znanym polskim aktorem



Bartek Czerwiński kl. 4b

Pewnej zimowej niedzieli, po wczesnym obiedzie, postanowiłem z mamą wybrać się na spacer. Szliśmy wśród drzew i mama zaproponowała, że po drodze wstąpimy na ciastko do cukierni „Szalców”, która słynie z pysznej szarlotki. Gdy podeszliśmy do lady, mama zapytała, co chcę do picia. Odpowiedziałem, że sok jabłkowy. Usiedliśmy przy stoliku i nagle mama zakrztusiła się koktajlem. Zapytałem, co się stało? Mama nie odpowiadała, tylko wskazała palcem na sąsiedni stolik. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom, przy stoliku obok siedzieli Cezary Żak i Ilona Ostrowska, aktorzy serialu „Ranczo”. Mama stwierdziła, że to może być jedyna szansa na autograf i podała mi szminkę, ponieważ nie miała długopisu. Ja wziąłem serwetkę i podbiegłem do stolika aktorów.

- Dzień dobry, proszę pana! – zawołałem.

- Cześć mały, o co chodzi? – zapytał Cezary Żak.

- Czy mógłbym prosić pana o autograf? – zapytałem nieśmiałym głosem.

- Oczywiście. Jak masz na imię? – zapytał aktor.

Gd dał mi autograf, podziękowałem mu i zapytałem Ilonę Ostrowską, która wróciła do stolika.

- Dzień dobry, proszę pani! – Czy mógłbym prosić o autograf dla mamy?

- Yes, of course boy – odpowiedziała mi ze śmiechem aktorka, która w filmie grała Amerykankę.

- Super! – odpowiedziałem.

Podziękowałem aktorom i wróciłem do naszego stolika.

- I jak synku, zdobyłeś autografy? – zapytała mama.

- Tak, a jak pokażę je kolegom i koleżankom, to chyba pospadają z krzeseł.

Gdy wróciliśmy do domu, opowiedziałem babci o spotkaniu z wójtem i Amerykanką. Babcia oczywiście nie uwierzyła. Wtedy wyjąłem serwetki zapisane szminką, a mama potwierdziła moje słowa. Ależ babcia się zdziwiła!

Teraz z jeszcze większym zainteresowaniem oglądam filmy, w których grają moi ulubieni aktorzy.



OPWIEŚCI Z PRZYSZŁOŚCI



Justyna Małek kl. 6a

Na ten dzień, pierwszy wtorek miesiąca maja, wszyscy czekaliśmy od pół roku. Pani od przyrody zarezerwowała dla całej klasy bilety na całodzienną podróż na jeden z księżyców Saturna. Cała klasa była bardzo podekscytowana i już trzy miesiące przed wycieczką poszliśmy kupić sobie skafandry na podróż. Wszystko było dopięte na ostatni guzik. Mieliśmy wyruszyć z samego rana.

Ubrani w kolorowe skafandry, zebraliśmy się o świcie. Wsiedliśmy do ogromnej rakiety o nazwie Moon – co oznacza księżyc. Gdy skończyło się odliczanie, wystartowaliśmy. Lecieliśmy z prędkością 50 000 km/h. Po godzinie lotu zbliżaliśmy się do celu wycieczki. Na lotnisku na księżycu czekał już na nas magnetobus. Był to pojazd, który nie miał kół, a unosiło go pole magnetyczne, wytwarzane przez silniki elektryczne poruszane przez mechanizmy, zasilane paliwem jądrowym.

W magnetobusach czekały na nas istoty zamieszkujące księżyc Saturna – Greevi. Mieli oni srebrną skórę i około dwóch metrów wysokości. Oddychali argonem. Porozumiewali się za pomocą trawialektu złożonego z wszystkich możliwych języków świata, więc język polski też znali. Opowiedzieli nam trochę o tej przedziwnej krainie i zaprosili na obiad. Zawieźli nas do wybudowanych specjalnie dla gości z Ziemi hermetycznych pomieszczeń, wypełnionych mieszkanką tlenu i azotu, gdzie mogliśmy zdjąć nasze skafandry i wypocząć. Po godzinnym wypoczynku przeszliśmy do restauracji, w całości obsługiwanej przez roboty. Do każdego z nas podchodził robot – kelner, podając menu. Chwilę później powracał, pytając o zamówienie. Jeden z nich podszedł do mnie i powiedział:

- Dzień do-bry. Czym mo-gę słu-żyć?
- Poproszę naleśniki z serem i szklankę soku pomarańczowego. Ile trzeba czekać?
- O-ko-ło dwa-dzie-ścia mi-nut.
- Dobrze. Ile płacę?
- Dzie-sięć u-rsów i pięć-dzie-siąt ki-rów.
- Dobrze.

Po tych słowach podałam robotowi kartę magnetyczną otrzymaną wcześniej w szkole, a on włożył ją do otworu w brzuchu, zeskanował laserem, po czym mi ją oddał razem z paragonem.

Po obiedzie zostaliśmy zaproszeni na zwiedzanie księżyca. Na powrót ubraliśmy swoje skafandry i umieszczeni zostaliśmy w mini-śmigłowcach powietrznych po cztery osoby. Te statki powietrzne obsługiwane były całkowicie

przez komputer pokładowy, sterowany telepatycznie przez przewodnika, który poruszał się w pierwszym mini-statku. Przemieszczaliśmy się gęsiego, jeden za drugim. Dzięki oszklonym kabinom mogliśmy obserwować całą okolicę. Lecieliśmy nisko nad powierzchnią księżyca. Przewodnik pokazał nam piękne ogrody, w których hodowane były nieznanne nam rośliny, sady owocowe z drzewami sięgającymi wysokości 100 metrów, rdzawo-czerwone lasy z potężnymi drzewami, piękne czerwone góry z zielonymi potokami, a potem zaprowadził nas nad miasteczko, w który widzieliśmy domy ludu Greevi, które swoją konstrukcją zupełnie niepodobne były do naszych ziemskich domów. Bardziej przypominały superkontenery mieszkalne, całkowicie zelektryfikowane i zautomatyzowane.

Po tej wycieczce wszyscy czuli się bardzo zmęczeni. W drodze powrotnej część z nas nie mogła się doczekać lądowania, a druga część myślała z przerażeniem o ostatniej atrakcji tego dnia - powrocie na Ziemię poprzez teleportację. Na stanowisku teleportacyjnym zebraliśmy się wszyscy około 18:00. W pewnym momencie zaczęło się wsteczne odliczanie. Na twarzach wszystkich pojawiała się radość i przerażenie. Gdy usłyszałam słowo „zero”, jedynym, co pamiętam, był lekki szum w uszach. W ułamku sekundy znaleźliśmy się na naszym boisku szkolnym. Tam już mogliśmy się oswobodzić ze skafandrów. Na parkingu przy szkole czekali już na nas rodzice. Wszyscy zmęczeni i pełni wrażeń wróciliśmy do domu.



Karolina Indyk kl. 6a

Ze Szkoły Podstawowej nr 2 im. św. Kingi w Sanoku miała zostać wybrana klasa, która weźmie udział w misji kosmicznej, organizowanej przez NASA. Wybór padł na 6a.

Rozpoczęto przygotowania do wyprawy. Szyto skafandry, tworzone różne urządzenia, które się przydadzą oraz wyposażano statek kosmiczny. Wszystko było gotowe już w marcu.

12 kwietnia 2010 roku w bazie kosmicznej w USA zebrali się wszyscy uczestnicy wyprawy. Odbyła się również uroczystość pożegnalna, którą emitowała telewizja. Prezydent USA Barack Obama wygłosił długie przemówienie, którego wszyscy wysłuchali z zaciekawieniem. Gdy przemowa dobiegła końca, cała klasa 6a, opiekunowie i astronauty wsiedli na prom kosmiczny. Rozpoczęło się odliczanie. Klasa z zapartym tchem słuchała ostatnich poleceń kontrolera startów., Trzy, dwa, jeden, zero! Statek wystrzelił w kosmos jak torpeda, w dość krótkim czasie znalazł się w przestrzeni pozaziemskiej. Dookoła nic, tylko gwiazdy...

Padło pierwsze polecenie kierownika wycieczki.

-Możecie rozpiąć pasy bezpieczeństwa - zakomenderował kapitan.

Prom był bardzo przestronny. Znajdowały się w nim pokoje przeznaczone dla pilotów, kosmonautów i klasy 6a. Dziewczyny miały jeden pokój, w którym było pięć łóżek piętrowych, szafy, biurka i duża łazienka. Chłopcy zajmowali trzy pokoje. Było tam takie samo umeblowanie, jak u dziewczyn. Ponadto była również kuchnia. Gdy nadeszła pora obiadu, kucharz wyciągnął z szafki kilka pudełek, w których znajdował się szary proszek. Zalał go wodą i po chwili na stole znajdowały się miski z sałatką, budyniem i jogurtem, kanapki i różne napoje.

Kapitan zwołał całą naszą klasę.

-Przed obiadem mam obowiązek powiedzieć wam, gdzie lecimy i w jakim celu. Nasz prom leci w kierunku innej galaktyki, a celem jest wymiana zagraniczna. Będziecie się uczyć na planecie Miron.

- Jak długo tam będziemy?

- Przez miesiąc. Po drodze odwiedzimy stację badawczą na Księżycu.

- Kiedy wrócimy? - zapytał z zaciekawieniem Szymon.

- Dokładnie 25 maja 2010 roku, jednak ta data może się przesunąć.

Teraz zjedzcie obiad. Jutro będziemy na Księżycu.

Z wielkim zapałem pochłonęliśmy wszystko, co było na stole. Potem za zmęczenia dziewczyny i chłopcy zasnęli.

Kapitan miał rację! Już następnego dnia wylądowaliśmy na Księżycu.

Ubrani w niebieskie skafandry, wyruszyliśmy do odległej stacji. Czułam się jak piórko lecące na wietrze. Po 15 minutach marszu doszliśmy do dziwnych budynków. Szymon i Daniel ciągnęli wózek z butlami wody i paczkami z proszkiem, prowiantem dla kosmonautów w bazie. Kapitan kazał to dowieźć aż do biura pewnego doktora i zostawić. Potem wróciliśmy.

Leciliśmy przez piętnaście dni, aż wylądowaliśmy na planecie podobnej do Ziemi.

Na Mironie powitano nas bardzo gościnnie! Dwudziestu sześciu kosmitów - uczniów szkoły, w której mieliśmy się uczyć - wsiadło na nasz prom i odleciało w kierunku Ziemi, a my zostaliśmy zaprowadzeni do miasta Dum Dum, w którym mieściła się szkoła. Za pomocą specjalnych symulatorów w kształcie suszarki, mogliśmy się porozumiewać z kosmitami.

- Weietaeecie nea Meiereoeenie.

- Cieszymy się, że będziemy się uczyć w Dum Dum - odpowiedzieliśmy wszyscy zgodnie.

- Zeaereaez zeoeseteaeneieeiee zeapereoeewaedezeni deo aekeaedemeieka.

Wszyscy poszli w kierunku dużego, niebieskiego budynku. Każdy miał wybrać sobie jakąś osobę do pary, z którą chcemy być w pokoju.

Wybrałam Justynę Małek. Miałyśmy niezwykle apartament. Były w nim łóżka wodne, wielka szafa, biurka w kształcie wulkanów, dwa telewizory plazmowe, przestronny balkon i łazienka. Miałyśmy najlepszy pokój w całym akademiku.

Nauka rozpoczęła się następnego dnia. Nasz nauczyciel, niebieski ufoludek - pan Bluu, uczył nas takich przedmiotów jak: matematyka, przyroda, plastyka, architektura mirońska, język miroński, organizował wycieczki po mieście i jego okolicach. Wszystkie budynki w miasteczku były w kształcie stożków, walców, kul i ostrosłupów. Miron był kolorową planetą. Drogi w mieście były niebieskie, wszędzie rosły drzewa, tak wysokie i szerokie jak Koloseum w Rzymie. Lekcje wychowania fizycznego prowadziła pani Ping-Pong, wysportowana zielona kosmitka. Głównymi przyrządami do ćwiczeń były drzewa ze zwisającymi lianami na placu przed szkołą. Zadania domowe były najlepszą częścią nauki. Raz trzeba było z galaretki zrobić makietę miasta Dum Dum. Po ocenieniu pracy przez nauczyciela, można było zjeść projekt. Wszystkim się ta nauka podobała.

Niestety, miesiąc nauki i dobrej zabawy minął. Trzeba było wrócić do szkoły na Ziemi. Zostaliśmy z wielkim smutkiem pożegnani przez kosmitów.

Nasz prom kosmiczny przyleciał. Wsiedliśmy i znów po 15 dniach wróciliśmy na Ziemię. W szkole opowiadaliśmy o nauce i zabawie na innej planecie. Z Mironu przywieźliśmy pamiątki: zdjęcia, makietę miasta Dum Dum wykonaną ze skał wulkanicznych, sadzonki drzew i kwiatów. Miło wspominaliśmy tę niezwykłą wycieczkę. Może kiedyś znów polecimy na Miron...



Łukasz Jakubas kl. 6a

XXI wiek wniósł wiele nowinek naukowych i technicznych, m.in. możliwość turystycznych lotów międzyplanetarnych.

Był to dzień 24 IV 2032 roku. W tym oto dniu grupa kilkunastu trzydziestopięcioletnich łapersdaków, którzy dawniej byli uczniami klasy VI„a”, spotkała się na zjeździe klasowym. Największy nicpoń, Łukasz Jakubas, zaproponował wycieczkę na Marsa. Warto wspomnieć, że 24 kwietnia był Świętem Lotnictwa Pozaziemskiego, a ustanowiony został podczas pierwszego lotu samolotem na Księżyc (24.04.2023 r.).

Mieli lecieć wypożyczonym za 50 € autoka... samolotem. Jednak nie był to zwykły samolocik do wypraw na Księżyc, ale nowoczesny wehikuł z napędem plazmowo-pulsacyjnym, stworzony w technologii „Stealth”.

Co to „Stealth”? Jest to technologia, zapewniająca obiektowi niewykrycie przez obce radary (po roku 2014 zaczęto ją udoskonalać). Dopiero po 2012 roku zaczęto produkować jednoosobowe maszynki. W 2020 roku rozpoczęła się produkcja pasażerskich samolotów. 20 lutego 2021 roku ulepszono „odporność” na radary. 14 sierpnia 2022 r. wprowadzono technologię „Instant Mach 5” (Błyskawiczna Pięciokrotna Prędkość Dźwięku), a dzień później innowację w postaci „Warp Speed Airplane” (Samolot o Prędkości Światła). Pozwoliła ona na wybijanie się w przestrzeń kosmiczną. 27 lipca 2023 roku zaczęto produkować

samoloty na skalę masową. Wtedy każdy mógł zamówić sobie lot na Marsa lub Księżyc za bardzo przystępną cenę.

Dwunastu nicponi, każdy posiadający po bilecie za jedyne 4 €, już się szykowało. Przygotowania do startu samolotu były już na ukończeniu, gdy nagle okazało się, że wystąpiła poważna usterka w systemie paliwowym. Wszyscy się zdenerwowali, jednak złość ustąpiła śmiechowi, gdy okazało się, że ich kamrat Pawełek znowu sobie z nich zażartował.

Start odbył się wzorcowo, a samolot po niecałych 10 sekundach osiągnął prędkość 6120 km/h. Cały czas podwyższał swój pułap i prędkość, aż w końcu pilot nacisnął czerwony przycisk, oznaczający włączenie systemu Warp, jednak obniżono wartość z 1 do 0,003 z racji, że samolot mógłby się zniszczyć na okołoziemskich śmieciach.

Maszyna ruszyła nagle, tak, że wszystkich wcisnęło do foteli (aerożelowych). Po paru sekundach grupka znajdowała się w obszarze śmieci okołoziemskich, które co chwila się ze sobą zderzały. Nagle pobliskie odłamki uderzyły o siebie z taką siłą, że jeden nicpoń krzyknął: „Ale urwał!” (widać było, że film jeszcze nie wyszedł z mody). Po kilkunastu sekundach dwunastka wyleciała (razem z samolotem oczywiście) poza strefę śmieci.

Widok był doprawdy wspaniały: wszędzie gwiazdy, Ziemia z odległości 70 000 km i niedaleki księżyc, zapierały dech w piersiach. Jednak to nie było celem wyprawy, za którą każdy z łapserdaków zapłacił niebotyczną sumę 4 €. Głównym założeniem było dotarcie do Czerwonej Planety, zwanej inaczej Marsem.

Lądowanie odbyło się czterofazowo:

1. Wejście na orbitę okołomarsjańską.
2. Zwolnienie do prędkości Mach 5.
3. Obniżenie pułapu z 40 000 do 300 metrów.
4. Wylądowanie w dolinie Ma'adim.

Wyłączono silniki i otworzono wolframowe drzwi, a wtedy „astronautów od siedmiu boleści” zaskoczył rdzawy odcień powierzchni Marsa. Wyszli oni oczywiście z butlami tlenowymi, bo bez nich żywot amatorów lotów pozaziemskich skończyłby się marnie. Dostali, wraz z butlami, posiłki (do przygotowania) oraz pojazd wykorzystujący CO₂ (nazwa slangowa – dwutlenek węgla). Okazało się, że pojazd rozwija prędkość Mach 0,5, tj. połowa prędkości dźwięku (612 km/h). Jednak „rajdowncom” wystarczyło 306 km/h, co nie było zbyt dużym „pędem”, jak na marsjańskie równiny. Nagle banda 35-latków zauważyła na horyzoncie gigantyczne wzniesienie. Zaczęła się debata:

- Co to jest? – spytał jeden.
- Nie wiem, może kontynent? – odpowiedział drugi.
- O co ci, do licha, chodzi?
- Idziemy pewnie po dnie wyschniętego morza, a to, co tu jest, to jakiś kontynent.

- Już cicho, bo jeszcze wam się mózgi ugotują – wtrącił trzeci, przysłuchujący się rozmowie. – To żaden kontynent, a my nie idziemy po wyschniętym morzu. To coś to największy wulkan w Układzie Słonecznym, Olympus Mons.

- A ile to ma? – zapytał „ten, który zadaje mądre pytania”.

- Metrów? Około 21 kilometrów. Idziemy na to?

- Idziemy?! Chyba jedziemy... Ale na pewno nie tym gruchotem! On po kamykach ledwie przejeżdża, a ty na 3-krotny Mount Everest chcesz wyjeżdżać? Nie ma mowy. Dzwonię do Houston, mamy problem.

- To dzwoń, ale poproś o coś, co ma moc co najmniej 20 Boeingów mechanicznych. Ja idę przygotować papu.

Gdy ochotnik poszedł przyrządzić posiłek, reszta postanowiła odpocząć. Wyjęli z kieszeni swoje namioty, skompresowane do rozmiarów kostki czekolady. W namiotach były spakowane materace i ciepłe kołdry, gdyż na Marsie panuje temperatura -20°C wiosną.

Tymczasem łapserdak-kucharz kończył gotować makaron na spaghetti po sycylijsku i zaczynał mieszać go z sosem z przysmażanych karpia na zimno. Gdy kończył przygotowywać surówkę z bakłażanów, marchewek i papai, zauważył 7 km od siebie zbliżającą się hordę rdzawopomarańczowych istot. Wrzasnął: „Kosmici idą! Budzić się!” Zaczął bębnić w gong i nagle wszyscy się obudzili... Tłum przystanął przy wychodzących z tipi mężczyznach. Zaczęła się rozmowa:

- Proszę, nie mordujcie nas! – wrzasnął kucharz.

- Nie bójta się o nic, nie zabijemy was – odezwał się wódz.

- Nie? Na pewno? Nie mamy się czego bać?

- No pewnie, że nie! Bakłarzenie są wegetarianami...

- Przepraszam... Mógłby wódz powiedzieć, przez jakie „ż” piszecie nazwę plemienia?

- Eee... Co to jest plemię?

- Grupka, taka, jak wasza.

- Och tak! Przepraszam, ale tabaka przyciemniła mi umysł...

- Że co?! Tabaka?

- Tak... Mamy tu nawet szklarnie z ogórkami, pomidorami...

- To świetnie! Czy macie jakąś zaplanowaną na dziś ucztę?

- Mamy. Aha, pytałeś, przez jakie „ż” piszemy nazwę plemienia. Otóż: piszemy ją przez „rz”, gdyż w dawnych czasach nie było u nas gammadelta polskiego, tylko łaciński. A że w łacinie nie ma „ż”, to tak wyszło... Ogólnie i tak rzadko zapisujemy nazwę plemienia.

- A co z waszą polityką i dyplomacją?

- Mamy tu wiele wyznaczonych terytoriów. Np. Formerianie żyją „po staremu”. Chodzą i polują lub zbierają, a żyją jakieś 350 km na południowy wschód stąd, w kompleksie Valles Marineris.

- A wy?

- A my żyjemy sobie w okolicach Olympusa, zajmujemy też kawałek doliny Ma'adim. Teraz chodźcie z nami na tańce rytualne.

Zaczęły się zabawy, tańczono taniec „bakła-papaja”, jedzono i pito. Nicponie chcieli wjechać na wulkan (wygasły od kilkunastu milionów lat), jednak zostali ostrzeżeni przez Baklarzanów, aby nie zaczynali wjeżdżać od południowej strony, ponieważ pojawiają się tam najgroźniejsze istoty na Marsie.

Na początek łapserdaki zaczęły składać „autko”, które po kilku minutach było gotowe. Rozpoczęło się wjeżdżanie na górę, które najpierw było mozolne, następnie przyspieszono, aż w końcu gąsienice, napędzające pojazd, stanęły u wejścia do krateru. Widok był fascynujący. Można było zobaczyć z wysoka kompleks Valles Marineris lub dolinę Ma'adim oraz stojący na niej samolot, przygotowany –jak zawsze– do lotu.

Dwunastu 35-latków pojechało w dół góry, gdzie czekali Baklarzanie, aby się pożegnać z grupą niesfornych łapserdaków. Następnie wyruszono do Doliny, aby wsiąść do samolotu i odlecieć.

Start, lot oraz lądowanie następowały w takiej samej kolejności, jak na Ziemi:

- Szybki start.
- Wlot do strefy okołoziemskich śmieci.
- Czterofazowe lądowanie.

Wszyscy zostali powitani po wyjściu z pokładu o godz. 10²². Po dwóch dniach nieobecności mogli przywitać się z rodzinami, opowiedzieć o wrażeniach z lotu i pobytu oraz wrócić do domów. Była to dla nich fascynująca i niezapomniana przygoda.



Martyna Gładysz kl. 6a

Pewnego majowego dnia, kiedy przyszedłam do szkoły, już na pierwszej lekcji czekała nas niespodzianka. Moja klasa wygrała konkurs na Klasę Roku. Pani dyrektor poprosiła, abyśmy na lekcji zeszli do jej gabinetu. Tam prócz pani dyrektor czekał na nas gość specjalny. Był to zaprzyjaźniony z panią dyrektor Superkosmita - R130p. Miał nas zabrać na swoją planetę – to była nagroda za wygranie konkursu. Bardzo się ucieszyliśmy z tej wycieczki.

Na boisku szkolnym czekał na nas Supernowoczesny statek kosmiczny. Był piękny i tak duży, że pomieściłby w środku całą naszą szkołę. Przy wejściu każdy z nas dostawał superdynamiczny srebrny kombinezon. Na głowę założono nam wielkie szklane kule, by nas chronić przed zmianą ciśnienia i czytaniem nam w myślach. Kryły się w tych kulach minicyber tłumacze, które umożliwiały nam wzajemne porozumiewanie się.

Podróż przez supercyberprzestrzeń kosmiczną trwała bardzo krótko, ponieważ poruszaliśmy się z prędkością szybszą od prędkości światła.

Planeta N384m była niezwykła, cała w kolorze turkusowym od supergazu Morpu, którym mieszkańcy tej planety oddychają. Tubylcy mieli skórę koloru fioletowego, byli niewielkiego wzrostu i byli bardzo gościnni.

W hotelu Gwiazdnym czekała na nas specjalna delegacja. Jeden z jej członków stanął przed nami.

- Witam was serdecznie moi mili goście - usłyszeliśmy jego metaliczny głos.

- Nazywam się B184d i będę waszym przewodnikiem.

- Dzień dobry panie B184 - powiedzieliśmy onieśmieleni.

- Cieszę się, że przybyliście do nas. Z przyjemnością oprowadzę was po naszej pięknej planecie. Odwiedzimy fabrykę zabawek, szkołę i Muzeum Techniczne Cyberprzestrzeni. Czy chcielibyście coś jeszcze zobaczyć?

- Bardzo chciałabym zobaczyć jak mieszkaacie - powiedziała nieśmiało Karolina.

- Właśnie, my też! - poparły ten pomysł dziewczyny.

- Da się załatwić! - odparł wesoło B 184d

Wyruszyliśmy w wielkich kosmicznych cyberkapsułach do fabryki zabawek. Wyglądała ona zupełnie inaczej niż się spodziewaliśmy. Były tam tylko roboty, które wykonywały dziwne śrubki i spirale. Minikomputery i różne nieciekawe dla nas przedmioty, które w ogóle nie przypominały zabawek. Szczególnie, że żeby je uruchomić, trzeba było rozwiązać zadanie matematyczne. Jak coś takiego można nazwać zabawą?! Dobrze, że my mamy zwykłe zabawki, których można dotknąć i bawić się nimi, w co się tylko chce, bez żadnych zadań matematycznych.

Następnie udaliśmy się do szkoły. Uczniowie siedzieli przypięci kablem do tablicy i dosłownie pochłaniali wiedzę. Ale to musiało być nudne! Dobrze, że my mamy nauczycieli, nawet takich, którzy krzyczą i straszą, że wleją nam oliwę do głowy. Przynajmniej można z nimi porozmawiać lub pożartować.

Niestety, nie zdążyliśmy do muzeum, bo rozpętała się superkosmiczna burza. Cała planeta pograżyła się w czarnej masie. Kiedy dotarliśmy do hotelu przeczekaliśmy tam nawałnice.

Na drugi dzień obejrzelśmy domy mieszkańców. Ku naszemu zdziwieniu były to kapsuły, w których tylko odpoczywali. Przypominały trochę szklane trumny. Brrr! Okropność! Wolę nasze domy, nawet jeśli są brudne i zagracone.

Z radością powróciliśmy do szkoły, gdzie czekała na nas stęskniona pani dyrektor i bardzo ciekawi naszej wycieczki uczniowie.



Szymon Molczan kl. 6a

„Kosmiczna wycieczka”

Był upalny czerwcowy dzień – tuż przed wyjazdem na szkolną wycieczkę, ostatnią, na którą miałem pojechać jako uczeń klasy 6^{”a”}. Siedziałem właśnie na nużącej lekcji matematyki. „Za chwilę przyroda – pomyślałem – O Matko! Zaraz zanudzę się na śmierć”. Lecz na lekcji przyrody czekała nas niespodzianka – idziemy na dwór – tyle, że w celach naukowych. Dokładniej mówiąc, mieliśmy szukać mchu. Jak zwykle, podzieliliśmy się na grupy. Ja, Daniel, Paweł i Kuba – nieskorzy do nauki, ale chętni do zabawy.

Gdy zaczęliśmy poszukiwania, rozgorzał spór o ich miejsce.

- Chodźcie tam, pod drzewo! - krzyknął Kuba.
- To tobie chce się szukać tej pleśni? – zdziwił się Daniel.
- Natury naszego Kuby nie zmienisz, od zawsze ma zapal nie do tego, co potrzeba – stwierdził Paweł.
- Słuchajcie – zacząłem – chodźmy za szkołę „poszukać” tej zarazy. Tam nikogo nie ma, więc będzie spokój.
- No, a na dodatek jest cień – dodał Daniel.
- Ja bym tam poszukał... - zaczął Kuba.
- To idź poszukać z panią od przyrody. Przynajmniej raz poczujesz się spełniony – odparłem sarkastycznie.

Wszyscy zgodni, z małym wyjątkiem, ruszyliśmy w kierunku zachodnim od boiska szkolnego. Zatrzymaliśmy się pod starym świerkiem. Miał szeroki pień i dostarczał dużo cienia. Usiedliśmy pod nim i zaczęliśmy pogawędkę, która mogła trwać w nieskończoność...

Rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym. Trwało to około 15 minut. Nagle zauważyłem, że w świetle słońca błyszczy coś pod dębem. Nie uprzedzając kolegów wstałem i podszedłem bliżej. Okazało się, że to coś srebrnego, zakopanego pod ziemią. W lewej kieszeni znalazłem małą, metalową ekerkę, którą kupiłem w „Biedronce” po przecenie. Bez wahania zacząłem kopać. Po 5 minutach wykopalisk odkryłem, że to coś na wzór MP4. Zamiast logo „ZEN” czy „CREATIVE” miało logo „NASA”! Zawołałem chłopaków, by ich powiadomić o odkryciu. Klęczeliśmy chwilę przy tym w ciszy. Ja pierwszy zabrałem głos:

- Z początku myślałem, że to MP4, ale to coś ma za mało przycisków. Na tym czymś na pewno jest jakiś filmik albo coś.
- Musimy to oddać władzom!- szybko powiedział Kuba.

- Gwizdnęło cię?! – huknął Daniel.
 - Lepiej to odsłuchać, nagrać informacje i sprzedać - zaproponował Paweł.
 - Materialista się znalazł – burknąłem. - Możliwe, że dzięki temu dostaniemy Nobla, będziemy ustawieni do końca życia i na dodatek będą o nas pisać w podręcznikach.
 - W sumie to z ciebie też jest materialista, Szymon - podsumował mnie Daniel.
 - Tak, ale ja bym na tym lepiej wyszedł – odparłem.
- Natomiast „skarb” leżał spokojnie na ziemi. Stwierdziliśmy, że go odsłuchamy, a potem się zobaczy.

Treść wiadomości była zaskakująca. Okazało się, że jest po angielsku, lecz ja biegle znałem ten język. A tak brzmiała treść: „Jest rok 1942. Trwa II wojna światowa. Przybyliśmy do Sanoka, z nadzieją, że jest tu bezpiecznie. Jednak myliliśmy się. Niestety, teraz nie ma odwrotu. Niech Bóg ma nas w opiece (wynika z tej wypowiedzi, że to katolik). Jeżeli mnie odsłuchujesz, to NASA ma nadzieję, że jesteś człowiekiem, który nie zrobi z TYM niczego złego. Trzysta metrów od miejsca, w którym stoisz, jest mała topola. Na południe od niej odlicz 3 kroki, 2 razy tupnij i powiedz OXENORE DE LA PASTRO. Otrzymasz tam dalsze polecenia.” Nie od razu wiedzieliśmy, czy wykonywać danie czynności. Wtedy zaproponowałem, żeby Kuba wziął „niby-telefon”, a następnie wróciliśmy do głównej grupy, gdzie pani właśnie wygłaszała nudne „kazanie”.

Nadeszła ostatnia lekcja – godzina wychowawcza. Tak jak przypuszczałem, mieliśmy wyjść na dwór. Tuż przed wyjściem poprosiłem wychowawcę o udzielenie mi głosu.

- No dobra, mów, co masz mówić i wychodzimy – powiedział pan Mandzelowski.
 - OK – zacząłem. – Mam dla wszystkich niespodziankę, więc zaraz jak wyjdziemy na dwór, niech wszyscy idą za mną, Danielem, Pawłem i Kubą.
 - A uchylisz rąbka tajemnicy? – zapytał Tomek.
 - Szczerze mówiąc – zająknąłem się – my sami nie wiemy. W sumie to niespodzianka dla wszystkich.
 - A! – krzyknął wychowawca - ja jeszcze na moment zajrzę do RSU sprawdzić, co z komputerem, więc tam ładnie przez chwilę macie się bawić.
- Wszyscy zaciekawieni wyszli na podwórko.

Nie od razu wpadliśmy na to, że mała topola to największe drzewo na terenie szkoły. Wiedzieliśmy, że Daniel będzie odliczał kroki, gdyż był najwyższym człowiekiem w szkole. Wszyscy patrzyli na nas ze zdumieniem. Nagle jakaś dziewczyna krzyknęła:

- Ale nudy! Chodźcie pograć w kartofla.
- Jeszcze 5 minut – nie wiecie, co was omija – broniłem się.

Nasza czwórka nie wiedziała, co się stanie. Wreszcie powiedziałem „OXENORE DE LA PASTRO”. Stało się coś dziwnego - grunt pod nami zadrżał. Nagle na wprost mnie otworzyła się kłapa w ziemi. Postanowiłem wejść do środka. Tak też zrobiła reszta klasy. Pomieszczenie było ogromne. Mniej więcej takie, jak duża sala gimnastyczna w SP2, tyle, że miało około 2,5 m wysokości. Nagle kłapa zamknęła się, a pomieszczenie oświetliło się światłem żarówek.

- Choose language (wybierz język) – powiedział jakiś głos.

-Polish (Polski) – odpowiedziałem ze strachem.

-Witamy na pokładzie Kosmicznej Cywilizacji – sympatycznie przemówił komputer. - Za 15 sekund startujemy. Grawitacja wyłączona.

Wszyscy unieśliśmy się w powietrze. Najśmieszniej wyglądał Kamil.

-Co??? - krzyknęli wszyscy.

-Jutro jedziemy na wycieczkę – krzyknął Maciek.

-START! – powiedział komputerowy głos.

-Nieeee! – krzyknęliśmy ponownie.

-Spokojnie, do jutra wróćcie, a teraz wszystko wam wyjaśnię – powiedział system Kosmicznej Cywilizacji.

Minęła już pierwsza godzina naszego lotu. Wszyscy się cieszyli, że lecą na Pandorę – tak bowiem nazywała się planeta, na którą lecieliśmy. Komputera przekazał nam wiele ciekawych informacji. Prom kosmiczny został zakopany na obecnym górnym boisku szkolnym w sierpniu 1942 roku. NASA bało się Hitlera. Cenną rzeczą, jakiej dowiedzieliśmy się, było to, że NASA zostało założone przez Abrahama Lincolna – 16 prezydenta USA. Była to tajna organizacja, która zajmowała się kosmosem na wszystkie możliwe sposoby: kosmici, inne planety, podróże w kosmos i nowoczesna technologia, o której mało kto wie. Hitler niestety dowiedział się o NASA i złapał jednego z jej oficerów. Torturami zmusił Amerykanina do ujawnienia tajnych informacji. Choć tak mało się dowiedział i tak stanowił duże zagrożenie. Franklin Roosevelt, który wtedy był prezydentem Stanów Zjednoczonych (F. Roosevelt 1933-1945r – dziwne jest to, że rządzi on dokładnie wtedy, kiedy panuje Hitler, też 1933-1945 r.) też był szefem NASA, a to się rzadko zdarza. Roosevelt dowiedział się, że Niemiecki dyktator próbuje poprzez swoich tajniaków znaleźć Kosmiczną Cywilizację. Postanowił więc ukryć statek na jego własnym polu działania, czyli w Europie. Od komputera dowiedzieliśmy się też o wielu ciekawych wynalazkach. Nadal nie może mi się pomieścić w głowie, że takie rzeczy były możliwe i to na dodatek - ponad 60 lat temu. Najbardziej spodobały mi się: tivixon – chip, który przypięty do białej kartki o dowolnej wielkości odtwarza wszystkie możliwe kanały na świecie; maskatrona – maska, w której można oddychać i widzieć wszędzie czyli np. pod wodą. Lecz z tych wszystkich wynalazków, które mi się najbardziej podobały, najciekawsze były kosmiczne gumy – gumy o kształcie i kolorze danej planety. Były ich tysiące. Jeżeli pozuło się jakąś przez 5 sekund, to zamieniało się

w mieszkańca tej planety, którą przedstawiała guma. Komputer pozwolił nam przez chwilę pozuć gumę z planety Igasigrepo, na której mieszkali „ludzie” zrobieni z wody. Nie napisałem, że po wyjęciu gumy z ust, wraca ona do swojej pierwotnej postaci, tak samo, jak osoba, która ją żuła. Dowiedzieliśmy się również, że lecimy z trzykrotną prędkością światła. Ważne też było to, że po 7 sekundach opuściliśmy przestrzeń czasowo-ziemską i wkroczyliśmy w przestrzeń inno-czasowo-ziemską. Czyli w tej przestrzeni 49 godzin oznaczało tyle samo, co 1 sekunda na Ziemi! Niemożliwe, a jednak! Leciliśmy już 1 godzinę. Celem naszego lotu było złożenie raportu generałowi Konorowi i zwiedzenie Pandory. Czyli – mówiąc krótko - taka wycieczka klasowa, tylko, że przypadkowa, darmowa i w kosmos!

Na Pandorze było upalnie - +75° C. Generał Konor siedział w klimatyzowanej sali i przyglądał się swej kolekcji gier. Miał je na wszystkie możliwe konsole. Zdobył je dzięki wizjonerowi – to takie dwie lodówki - jedna na Ziemi a druga na Pandorze. Jeśli się coś do niej wsadziło i ustawiło określony czas, to po drugiej stronie wyskakiwało to coś. Miał takich 10 na Pandorze – w różnych rozmiarach. Dziwił się, dla czego na jego ojczystej planecie grają tylko dzieci. Aleksander (bo tak miał na imię) miał 50 lat, lecz wyglądał na 30. To dzięki klimatowi tej planety. Istoty, które tu mieszkają, żyją 4 razy dłużej niż Ziemianie. On wychował się na Ziemi i dlatego wygląda aż na trzydziestkę. Nagle zadzwonił czerwony telefon – tylko do spraw specjalnych. „Pewnie znowu jeden z księżyców Marsa wybuchł.”- pomyślał.

-Tu główny posterunek Pandora – odebrał.

-Tu Ziemia – zaczął silny męski głos – Melduje John Arkebuz, szef do spraw obcoplanetarnych NASA.

-Coś się stało?

-Tak, na Pandorę leci Kosmiczna Cywilizacja. Pamiętacie, co to jest?

-Tak jest. Prom zakopany w 1941 roku prze...

-To dobrze, że wiecie. Macie ich dobrze sprawdzić – odparł szorstko Arkebuz – co prawda system LXP17012.05 stwierdził, że jest to

-Niegroźna załoga, ale ostrożności nigdy za wiele.

-Właśnie. Bez odbioru.

Alexander nie mógł się już doczekać, aby zobaczyć człowieka – istotę której nie widział od 20 lat.

Do lądowania na nowej dla nas planecie zostało jeszcze pół godziny lotu. Leciliśmy tzw. tunelami świetlnymi, które skracaly drogę o 93,7509%. W uproszczeniu - to takie lepsze autostrady w kosmosie.

Przed wyjściem na ląd musieliśmy założyć na siebie 3 rzeczy: Gaj-Gaj – taki jakby mikrofon, podobny do tych, jakie mają w programach TV, tyle, że ten

zmieniał wypowiedziane przez nas słowa na słowa Avange – tak nazywali się Pandorianie. Oczywiście, głos mógł być zmieniony na tysiące innych języków. Kolejnymi rzeczami były maskatrona i weterub – kombinezon, który chłodzi, gdy jest ciepło i ociepla, gdy jest zimno. Był cały w kolorze czarnym z niebieskimi cyframi na plecach. Ja miałem „1”. Gleba na lądzie była taka, jak na Ziemi (chyba), lecz rosły tam całkiem inne rośliny. Szliśmy marszem 30 minut. Nagle w krzakach coś się poruszyło. Myślałem, że to tutejsza flora, ale w pewnym momencie otoczyło nas 30 dzikusów! Wyglądali, jak armia łysych Daniela Przybosiów bez okularów o niebieskiej skórce. Na sobie mieli coś w rodzaju bokserek na szelkach. Wyciągnęli do nas włócznie. Co dziwne, nie rozumieliśmy ich mowy, chociaż komputer zapewniał, że sprzęt jest sprawny.

- Ugi ugi lugi cugi mugugi – powiedział jeden.

- Jagi cugi kuqi sugi i kigi migi figi – odpowiedział drugi.

- Jagi sagi bagi. Sili mili buli culi – stwierdził trzeci.

Nagle jeden uderzył mnie pięścią w policzek. Nie czekałem długo - szybko mu oddałem i wybiłem 4 czarne zęby.

- Suciuciu buciuciu gugi bugi ciuciuciu muciu – odparł z pogardą, którą było słyhać w jego głosie.

Nagle usłyszeliśmy huk. Ktoś strzelił. Od razu wszyscy dzikusy zniknęli w lesie. W pewnym momencie jakby zza mgły wyłoniła się grupka trzymetrowych ludzi o niebieskiej skórce. Na czele szedł człowiek – najprawdopodobniej generał Konor.

- Witam, mam na imię Alexander, a na nazwisko Konor. To wy przyjechaliście Kosmiczną Cywilizacją?

- Tak- odparłem.

- Widzę chłopcze, że wybiłeś zęba temu zwierzakowi?

- Z-ZWIERZAKOWI?

- Tak! Tubylcy mają po 3 m wysokości i są bardziej cywilizowani. A co d tych zwierzaków... Tutaj ewolucja poszła do przodu i na wzór Avangerów ukształtowali się oni.

- Mieliśmy złożyć panu jakiś raport – wtrącił się Kuba.

- O tak, ale nie teraz. – wyjął z kieszeni metalowy prostokąt – Wskakujcie.

Prostokąt po wciśnięciu małego guziczka stał się wielkim prostokątem, na którym wszyscy stanęliśmy i pojechaliśmy do bazy głównej.

Unosiliśmy się na prostokącie 30 minut (chodzi mi o jazdę, tyle, że kilkanaście centymetrów nad glebą), aż zobaczyliśmy bazę. Było to siedemdziesięciometrowe drzewo, które pień miało z białego marmuru, a koronę ze szkła! Coś pięknego!

W środku było jeszcze lepiej. Okazało się, że Alexander nudzi się tutaj od 19 lat i dzięki temu stał się zwolennikiem gier na wszystkie możliwe konsole. Najlepsze było to, że gdy chciał być dzieckiem to nim był, a gdy chciał być dorosłym, to

taki się stawał. Niestety, gdy zdawaliśmy raport, dowiedzieliśmy się, że nie będą o nas pisać w podręcznikach. Natomiast małe dofinansowanie mieliśmy dostać za znalezienie statku. Kosmiczna Cywilizacja miała zostać tam, gdzie była. Nie mogła ona być wykryta przez żadne radary (no chyba, że NASA), ale mogła przenosić informacje do wszystkich posterunków NASA na całym świecie. Alexander wyjaśnił nam, dlaczego świat nie może dowiedzieć się (przynajmniej na razie) o postępie nauki. „Bo to jest jak z samochodem – jedni po prostu go dobrze wykorzystują, a inni rozwalają nim wszystko, co popadnie i do tego łamią prawo. „Człowiek to człowiek – on zawsze taki będzie”- tłumaczył nam. Zdanie raportu było bardzo łatwe: generał o coś pytał, a my po prostu odpowiadaliśmy. Nie wspomniałem jeszcze nic o Avangerach. No więc tak – mieli 3 m wzrostu, wielkie żółte lub jasnozielone oczy na pół twarzy, nie mieli czoła, nos mały, a brody prawie nie było widać. Ich głowę wieńczył długi warkocz. Byli niebiescy.

Alexander zaproponował, abyśmy zostali jeszcze jeden pandoriański dzień, czyli 42 godziny. Zgodziliśmy się, gdyż mieliśmy tylko sekundę do stracenia. Ze statku zabraliśmy kosmiczne gumy pandoriańskie – w skrócie KGP1.25. W teren wyruszyliśmy z najlepszym kolegą generała – Chrestomanchim.

„Na zewnątrz” było tak samo jak na naszej ojczystej planecie: domy, sklepy, muzea, aquaparki, firmy itp. Najbardziej zdziwiło mnie to, że wszyscy jeździli na prostokątach - takich jak Konor. My też używaliśmy tego środka transportu. Przede wszystkim nie było dróg. To było bardzo dziwne doświadczenie. Zdumiewające były też zwierzęta. Żyły swobodnie pośród ludzi. Najbardziej spodobały mi się gogi – latające psy i skrzecze – takie konie, tylko pokryte czymś na wzór metalu.

Troszkę pozwiedzaliśmy, popływaliśmy, a najlepsze było to, że wyglądaliśmy jak tubylcy. Moda i sztuka były takie same jak na Ziemi. Jakby ktoś skopiował ubiór i przeniósł tutaj.

Gdy weszliśmy do lasu, zobaczyliśmy, że drzew jest mało. Były oddalone od siebie o 15 m, lecz były stu pięćdziesięciometrowymi kolosami! Efektowna była reszta flory – kolorowe, wielkie kwiaty, motyle z metrowymi skrzydłami, zwane „polne latawce”, wiele wielkich paproci, itp. Każdemu z mojej klasy tu się spodobało, no ale kiedyś trzeba wrócić.

Było już ciemno. Nasza czwórka – ja, Daniel, Kuba i Paweł – za znalezienie Kosmicznej Cywilizacji dostaliśmy 4 tivixony, 4 maskatrony, 4 kosmiczne gumy z Igasigrepo i 4 prostokąty. Oczywiście mogliśmy je

wykorzystać tylko wtedy, gdy nikt nie patrzy. Cała klasa złożyła uroczystą przysięgę, że nie puści pary z ust.

- Wróćcie jeszcze kiedyś chłopaczyska – rzucił na pożegnanie generał – To, że mam 50 lat nie znaczy, że was w Fifę nie rozwalę.

Wsiadliśmy na statek:

- 4,3,2,1, START!!! – powiedział komputer.

Następnego dnia wyjechaliśmy na kolejną wycieczkę klasową. Kosmiczna Cywilizacja stała tam gdzie zawsze, żeby nie wzbudzić podejrzeń. Wszystko wróciło do normy. No - prawie...

Z ŻYCIA WZIĘTE



To był wspaniały dzień!

Bartek Czerwiński kl. 4b

Sobota, 17.06. 2008 r.

Wstałem wcześniej rano, dzień wolny od szkoły. Mama jak zwykle w każdą sobotę lubi wybrać się na zakupy. Nie lubię chodzić po mieście, ale nie mam wyboru. Zabraliśmy ze sobą babcię i wyruszyliśmy w drogę.

Trafiliśmy na halę targową, mama dopadała pomidory i ogórki, a ja czmychnąłem do „Orki”. Wśród jazgotu kanarków i innego ptactwa spostrzegłem akwarium z futrzanymi kulkami. Jedna akurat podeszła do szyby i gapiała się na mnie czarnymi oczkami. To był chomik, mój chomik!

Wiedziałem, że zrobię wszystko, żeby go mieć. Nie wiadomo skąd pojawiła się mama, która zapatrzyła się również na białą, małą kulkę, a ja już wiedziałem, że go kupi. Przedstawiłem mamie mojego chomika, którego postanowiłem nazwać „Norbik”. Nie wiem, skąd do głowy przyszło mi to imię. Chyba mi się przyśniło. Wróciłem do domu i cały czas go obserwuję. Teraz zakopał się w trociny i udaje, że śpi.

To był naprawdę udany dzień, mój Pamiętniku. Miały być nudne zakupy, a mam pierwsze w swoim życiu zwierzątko.

Jest późno, idę spać! Zobaczmy, co przyniesie jutrzejszy dzień!



Justyna Małek kl.6a

Była to środa, drugi września, pierwszy dzień w ławce szkolnej, pierwszy dzień szóstej klasy. Z łóżka zerwał mnie głośny, nieprzyjemny dźwięk budzika. Otworzyłam ze zdziwieniem oczy i spojrzałam zdenerwowana na zegar - wskazywał 6.10. Zaspana nie mogłam skojarzyć, co się dzieje i dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że to już koniec lenistwa, wysypiania się do dziesiątej, że przez najbliższe dziesięć miesięcy będę musiała wstawać skoro świt.

Już po poprzednim dniu – dniu rozpoczęcia roku szkolnego, chodziłam cała zdenerwowana, bo to przecież miał być początek szóstego roku nauki, roku, po którym miałam zdawać pierwszy poważny egzamin. W głowie miałam jeszcze obrazy cudownie spędzonych wakacji. Żał mi było, że tak szybko się skończyły. Otoczyła mnie fala głębokiego smutku. Ale nagle przypomniało mi się, jak usychałam z tęsknoty za czasem spędzonym wspólnie z moimi przyjaciółmi. Od razu serce mocniej mi zabiło na myśl, że będę mogła codziennie spotykać się z koleżankami i kolegami z klasy, że będziemy mogli wspólnie poplotkować, bawić się w ulubione zabawy. Podbudowana tymi myślami z energią zerwałam się z łóżka, zaścieliłam je i szybko zbiegłam na parter.

Rodzice już tam byli, śniadanie czekało na stole. Szybko zjadłam, umyłam się, ubrałam i przed siódmą byłam gotowa. Na zewnątrz byłam spokojna, może nieco podekscytowana, jednak w środku palił się we mnie ogień. Początkowy zachwyty z pójścia do szkoły, zaczął się z każdą chwilą przeradzać w strach, niepokój i niepewność. Zaczęły mnie nachodzić nowe myśli. Czy poradzę sobie z nauką w szóstej klasie, z kim będę siedzieć w ławce, czy zmieniają się nam nauczyciele i jak poradzę sobie z egzaminem, który w końcu roku będę musiała pisać?. Od razu pot pojawił się na moim czole i poczułam drżenie rąk, stałam w zamyśleniu i nie czułam, jak biegnie czas. Moje rozmyślenia przerwał tata, ponaglając mnie do wyjścia.

Wsiadliśmy do samochodu i po trzech minutach byłam przed szkołą. Krew coraz mocniej pulsowała mi w żyłach, a serce kołatało jak oszalałe. Szybko zmieniłam buty i wbiegłam na drugie piętro przed salę 41. Język polski miał być naszą pierwszą lekcją w szóstej klasie. Chociaż do rozpoczęcia zajęć było jeszcze trzydzieści minut, Karolina i Martyna już czekały przed drzwiami. Na ich widok zdenerwowanie trochę mnie opuściło, ale widziałam, że i one mimo okazania radości z mojego widoku, były w środku zdenerwowane. Podczas burzliwej rozmowy chciałyśmy sobie szybko wykrzyczeć nasze wspomnienia z wakacji, co rozładowało panujące w nas napięcie. Z minuty na minutę przychodzili też inni nasi koledzy, którzy z ochotą dołączali się do naszej rozmowy i powstawał jeden wielki, mało zrozumiały gwar. Te chwile radości przerwał nam pierwszy dzwonek, który przypomniał, że za pięć minut rozpoczniemy pierwszą lekcję.

Wszyscy nieco ucichli i w zniecierpliwieniu oczekiwali rozpoczęcia. Tuż po drugim dzwonku przeszła nasza pani od języka polskiego, łagodnie się uśmiechnęła i zaprosiła do klasy.

Potem już było nieco lepiej, napięcie nerwowe i obawy, z jakimi oczekiwałam na rozpoczęcie roku szkolnego, z każdą lekcją malały. Nauczyciele spokojnie wyjaśnili plan pracy na cały rok nauki, przekazali wymagania, jakie będą nam stawiali i wtedy okazało się, że nie będzie tak źle, że pracując systematycznie będę mogła spokojnie sobie z wszystkim poradzić. Tak więc od samego początku zabrałam się z energią do nauki i myślę, że kiedy przyjdzie dzień egzaminu, to będę na niego gotowa.



Łukasz Jakubas kl. 6a

Opowiadanie to dotyczy wydarzeń listopadowej środy. Działo się to głównie w moim domu oraz w szkole i na spacerze.

Tego dnia obudziłem się rano. Byłem zdziwiony, że nikogo nie ma w kuchni. Mama była na nocnym dyżurze, po którym wraca do domu dopiero około godziny ósmej. Tato do pracy wychodzi z domu o 6-ej rano. Zwykle w takiej sytuacji śniadanie robi mi babcia. Niestety, jej też nie było. Pomyślałem, że może zasnęła. Nie miałem czasu na zastanawianie się, bo była już 7¹⁵ – później niż zwykle. Ubrałem się, umyłem, szybko sam zrobiłem sobie śniadanie i wyszedłem z domu. Zdziwiłem się, że boisko szkolne jest puste. Zwykle kiedy nie pada deszcz, koledzy kopią piłkę, zanim zabrzmie dzwonek na pierwszą lekcję. Nie widziałem „żywego ducha”, wszystkie wejścia do szkoły były zamknięte. Przyszła mi do głowy myśl, że to może z powodu „świńskiej grypy” szkoła jest nieczynna, ale ta myśl wydała mi się niedorzeczna. Zrezygnowany wróciłem do domu. Przy drzwiach wejściowych spotkałem mamę, wracającą z pracy. Popatrzyła na mnie z ogromnym zdziwieniem i zapytała:

-Skąd ty wracasz Łukasz, i po co ci ten plecak?

-Cześć mamó. Właśnie wracam ze szkoły. Dzisiaj wszystko jest dziwne. Babcia zasnęła, szkoła jest zamknięta...

-Ale Łukaszk. Dzisiaj jest święto, 11 listopada!

-Co takiego?!- spytałem z niedowierzaniem.

Byłem zły sam na siebie. Mogłem sobie pospać, a zerwałem się tak wcześnie. Pokręciłem się, nie wiedząc, co z sobą zrobić. Obejrzałem telewizję i chwilę poczytałem książkę. Później poszedłem do kościoła, gdzie modliliśmy się przede wszystkim za ojczyznę. Spotkałem kolegę z klasy, któremu po mszy opowiedziałem o moim porannym „wyskoku”. Uśmialiśmy się do rozpuku, a jednocześnie nie mogłem uwierzyć, że coś takiego mogło mi się przytrafić. Rekompensatą za wcześniejsze nieprzyjemności był popołudniowy, rodzinny

spacer po mieście. Rzadko zdarzają się takie wspólne wyjścia, a to było wyjątkowo miłe i jednocześnie pouczające. Tato, którego pasjonuje historia, w trakcie spaceru opowiadał mi o I wojnie światowej, o odzyskaniu przez Polskę niepodległości, nawiązał też do okresu międzywojennego i II wojny światowej. Kiedy tego słuchałem, bardzo przeżywałem informacje dotyczące tego zagadnienia, chwilami byłem przerażony i ogromnie przygnębiony okrucieństwem wojen. Poszliśmy nawet na cmentarz i odwiedziliśmy groby uczestników powstań niepodległościowych. Rozmyślając o tamtych wydarzeniach, nie mogę zrozumieć, jak ludzie ludziom mogli zgotować taki los. To była długa i bardzo pouczająca wyprawa. Po przyjeździe do domu musiałem przygotować plecak na następny dzień do szkoły - byłem już pewien, że lekcje w czwartek na pewno się odbędą.

To był naprawdę wspaniały dzień, który zaczął się od niefortunnej pomyłki, bardzo zresztą śmiesznej. Jestem przede wszystkim szczęśliwy, że mogłem ten dzień spędzić z rodziną. Moi rodzice często pracują też w święta, więc świąteczne dni, kiedy jesteśmy w komplecie, należą do rzadkości. 11 listopada spędziłem wesoło, przyjemnie, jednocześnie dowiedziałem się bardzo wielu ciekawych rzeczy, dotyczących wojennej historii ojczyzny, ale także mojego miasta.



Radosław Mazgaj kl. 6a

W końcu nadszedł upragniony dzień zakończenia roku szkolnego. Gdy wstałem z łóżka, byłem szczęśliwy, że rozpoczną się wytęsknione wakacje.

Po przygotowaniu się, poszedłem do kościoła, aby podziękować Panu Bogu za szczęśliwy rok szkolny. W świątyni miała odbyć się Msza Św., podczas której byłem wyznaczony do zaśpiewania psalmu. Gdy podchodziłem do ambony byłem stremowany. Nogi miałem jak z waty. Czułem na sobie spojrzenia wszystkich zebranych. Pan organista zaczął grać. Po kilku linijkach zaśpiewanego psalmu poczułem skrzydła u ramion. Byłem radosny, że mogę wykorzystać swój talent. Po mszy, gdy wszyscy wyszli z kościoła, niektórzy gratulowali mi. Radość przepelniała moje serce.

Potem udaliśmy się na boisko szkolne, gdzie odśpiewaliśmy hymn narodowy. Następnie pani dyrektor wygłosiła uroczystą mowę. Później nastąpiło odczytywanie nazwisk i wręczanie świadectw uczniom, którzy otrzymali wyróżnienia. Z niecierpliwością czekałem na świadectwo. Gdy pani dyrektor wyczytała moje nazwisko, serce waliło mi jak dzwon. Przeszedłem całe boisko i odebrałem nagrodę w postaci książki i dyplomu ukończenia piątej klasy. Byłem dumny i szczęśliwy, że otrzymałem wyróżnienie za cały rok mojej pracy i nauki. Później odbyło się spotkanie z wychowawcą w sali nr 33. Pan skierował do nas

słowa podziękowania za naukę i trud. My także byliśmy wdzięczni za jego pracę z nami. Pan rozdał pozostałym dzieciom świadectwa. Później poszedłem podziękować innym nauczycielom za całoroczny wysiłek nauczania. Radość moja była ogromna, gdy uczący mówili, że praca z naszą klasą należy do przyjemności. Potem udałem się do domu. Razem z rodziną świętowaliśmy koniec roku szkolnego. Były lody, pizza i inne ulubione smakołyki.

Z powodu rozpoczynających się wakacji czułem się wolny i byłem w siódmym niebie. Ten dzień minął pełen radości i satysfakcji z całorocznej, ciężkiej pracy, był naprawdę wspaniały.

Wędrowcy, podróżnicy, globtroterzy...



Michał Polański kl. 5b

Bardzo lubię chodzić w góry. Są piękne, choć mogą być niebezpieczne.

Kiedy dowiedziałem się, że będę mógł wyjść na najwyższy szczyt polskich Bieszczadów – Tarnicę, byłem bardzo szczęśliwy.

Patrząc na górę, stojąc u jej podnóża, widziałem ją jako coś bardzo małego. Ze wszystkich stron otaczał ją las. Szczyt wyglądał na wykrzywiony. Byłem tym dość zdziwiony. Myślałem, że łatwo będzie tam wejść. Bardzo się myliłem.

Wchodząc do lasu, byłem zmieszany. Był on rozległy, przeważały w nim drzewa iglaste. Las pełen kwiatów, mchów, drzew i innych roślin wydawał się najpiękniejszą rzeczą na świecie. Idąc pod górę, zachwyciałem się tą naturą. Po około godzinie i pięćdziesięciu minutach wyszedłem z lasu. Szczyt był już widoczny. Od mojego celu dzielił mnie niecały kilometr.

Dwadzieścia minut później znalazłem się na szczycie. Byłem dumny i szczęśliwy. Zmęczenie dawało się we znaki, ale nic nie szkodzi. Majestatyczne piękno widoczne było zarówno postrzępionych ostrych, postrzępionych graniach, jak i łagodnych bieszczadzkich wzniesieniach, otaczających ten bardzo wysoki i ostry szczyt. Gdzieś tam widać było pastwiska z pasącymi się zwierzętami. Bardzo długo zachwyciałem się tym widokiem. Byłem podekscytowany i szczęśliwy. Mojej radości nie dałbym rady opisać słowami.

Schodziłem nieco inną drogą. Większa jej część prowadziła przez las, w którym można było odpocząć, ponieważ był tam cień. Dróżka kończyła się na parkingu, na którym mój tata zostawił samochód.

Kiedy jechałem do domu, byłem zmęczony, ale szczęśliwy. Ja naprawdę lubię góry.



Joanna Smarzewska kl. 5 b

Bardzo lubię podróżować, zwiedzać nowe i ciekawe miejsca, poznawać życie i zwyczaje mieszkających tam ludzi. Właśnie wybieram się na kolejną wyprawę, tym razem do Chorwacji.

23 maja

Jest sobota, godzina 16⁰⁰. Wyruszamy autokarem z Sanoka. Czeką nas długa droga. Po godzinie przekroczyliśmy granicę słowacką. Z autobusu obserwujemy, jak szybko zmienia się krajobraz za oknami. Robi się coraz później, na horyzoncie widać zachodzące słońce. Koło północy dojeżdżamy do Budapesztu. To jedna z największych stolic Europy. Jesteśmy już bardzo zmęczeni, ale zatrzymujemy się przy Wzgórzu Gellerta, by obejrzeć przepiękną panoramę „Budy”, położonej na prawym brzegu Dunaju. Po powrocie do autobusu, zmęczona szybko zasnęłam. Obudziłam się rano w Chorwacji. Kontrola paszportowa odbyła się bardzo szybko i zaraz wyruszyliśmy w dalszą drogę.

24 maja

Jedziemy autostradą na południe w kierunku Dalmacji. To kraina rozciągająca się wzdłuż wybrzeża Adriatyku. Trasa przebiega wśród skalistych zboczy, długimi tunelami wydrążonymi w skałach. Przed południem dojeżdżamy na miejsce. Jest ponad 30°C w cieniu. Resztę dnia postanowiliśmy spędzić na plaży, kąpiąc się w morzu i opalając się. Woda w Adriatyku jest bardzo słona, ale czysta. Trzeba jednak uważać na jeżowce. Jest ich dużo i łatwo je sobie wbić w nogę. Wieczorem idziemy obejrzeć zachód słońca. Na kamienistej plaży obserwujemy kraby, które powychodziły na brzeg. Zrobiłam wiele ciekawych zdjęć.

25 maja

Rano obudziło mnie mocne słońce. Znowu zapowiada się upalny dzień. Zaraz po śniadaniu wyruszamy do Dubrownika, nazywanego przez miejscowych „Perłą Adriatyku”. Musimy zabrać ze sobą nakrycia głowy i wodę mineralną. Jesteśmy na starym mieście, które od morza i reszty miasta odgradzają doskonale zachowane mury o długości prawie 2 km. Idąc po murach, z jednej strony można podziwiać piękne widoki, szafirowe morze, z drugiej zaś rozciągają się zabudowania starego miasta. Na niektórych budynkach widać jeszcze ślady wojny. Skwar daje nam się coraz bardziej we znaki, dlatego przy wyjściu zatrzymujemy się obok fontanny Onufrego, z szesnastoma rzeźbami, z których wypływa woda. Zgodnie z tamtejszą tradycją, moczyliśmy ręce pod wszystkimi kranami, dzięki czemu miały spełnić się nasze życzenia.

26 maja

To już czwarty dzień naszej podróży. Dzisiaj wybieramy się statkiem na Kornati. To ponad 100 wysp i wysepek, prawie niezamieszkanymi, ze względu na brak słodkiej wody. Wysepki te porośnięte są głównie drzewkami oliwnymi. Po zwiedzeniu wyspy i kąpieli w jednej z zatoczek, odpłynęliśmy w drogę powrotną. Wyprawa ta zajęła nam cały dzień.

27 maja

Wracamy do Polski, ale jeszcze po drodze zatrzymujemy się w Parku Krajobrazowym „Plitwickie Jeziora”. Jest to przepiękny zespół jezior, kaskad i wodospadów o różnej wysokości. Woda w jeziorach mieni się różnymi kolorami, od zielonego do niebieskiego. Zwiedzamy, spacerując drewnianymi kładkami nad wodą. Robię dużo zdjęć. Chcę utrwalić te niezapomniane widoki, by po przyjeździe móc pokazać je innym. Późnym popołudniem, zmęczeni, ale szczęśliwi i pełni wrażeń, jedziemy w stronę granicy. Za kilkanaście godzin będziemy w domu.

Czym jest szkoła? – marzenia i rzeczywistość



Izabela Kudroń kl. 6c

Szkoła to najważniejszy czas w życiu człowieka. Każdy z nas powinien do niej chodzić. Dla niektórych jest to czas męczarni, które muszą przejść, ale dla mnie to miło spędzone chwile, które będę wspominać do końca życia.

Zanim poszłam do szkoły, wyobrażałam ją sobie całkiem inaczej. Myślałam, że będę się bawić, nie będę miała nauki i obowiązków. Byłam wtedy tylko małą dziewczynką i widziałam świat w różowych kolorach. Dopiero teraz wiem, jak jest naprawdę. Musimy odrabiać zadania, uważać na lekcjach, zachowywać się grzecznie. W utrzymaniu dobrego sprawowania pomagają nam prawa i obowiązki ucznia.

Szkoła ma także dużo zalet. Na przerwach rozmawiamy z koleżankami, śmiejemy się, żartujemy, otrzymujemy nagrody za rzetelną pracę i osiągnięcia w konkursach.

W tym roku kończę naukę w szkole podstawowej i rozpoczynam gimnazjum. Z wielką chęcią wróciłabym do lat przedszkolnych i przeżyła to wszystko jeszcze raz. Nigdy nie zapomnę nauczycieli, koleżanek, i przerw spędzonych z nimi. Były to lata przepełnione beztroską, śmiechem i zabawą.

Mam nadzieję, że w następnych latach, nie zabraknie tych wszystkich przyjemności związanych ze szkołą.

Jak być sobą?



Izabella Kudroń, kl. 6c

Mam na imię Iza, chodzę do szóstej klasy i mam trzynaście lat. Interesuję się muzyką i uczęszczam do szkoły muzycznej. Bywa, że nie potrafię nawiązać kontaktu z koleżankami. Gdy chcę, by mnie lubiły, udaję kogoś innego niż naprawdę jestem. Zazwyczaj okłamuję samą siebie, aby mnie lubiły.

Często zadaję sobie pytanie: jak być sobą? Zastanawiam się, co mogłoby mi pomóc. Uważam, że nie można przejmować się zdaniem znajomych, którzy po prostu nam zazdroszczą. Zwykle doprowadzają do kłótni i mówią, że brzydko się ubieramy, że jesteśmy głupie i nikt nas nie lubi. W rzeczywistości tak nie jest. Ci ludzie chcą nas zdenerwować, złamać i doprowadzić do tego, abyśmy my sami tak uważali.

Zwykle trudno jest być sobą. Przeważnie, gdy pokażesz swoje „oblicze”, wszyscy cię odpychają i wyśmiewają. Dostosowujemy się do ich stylu życia. Staramy się im zaimponować.

Zawsze warto spróbować być sobą. Na pewno znajdą się ludzie, którzy polubią „prawdziwych” nas. Z reguły ci ludzie, do których próbujemy się upodobnić, są gorsi, zazdroszczą nam, a najczęściej to oni chcieliby być tacy jak my.

W takiej sytuacji może pomóc zaufana przyjaciółka lub przyjaciel. Przydatna jest również wiara w siebie i we własne możliwości. Gdy zlekceważymy ich komentarze, na pewno poczujemy się lepiej. Sami musimy wierzyć, że dobrze postępujemy.

Często wstydzimy się swojego zdania. Boimy się „wyprowadzić je na światło dzienne”. Postępujemy jak inni. Nie chcemy, by ktoś wyśmiał „prawdziwych” nas. Kryjemy swoją osobowość pod „maską”.

Uważam, że każdy człowiek powinien starać się być sobą. Nawet jeśli mu się to nie udaje, nie może się poddawać.

Przyjaźń niejedno ma imię...



Joanna Smarzewska kl.5b

- Halo! Słucham.
- Dzień dobry. Mówi Asia Smarzewska. Czy mogłabym rozmawiać z Agatą?
- Tak, proszę. (*Agatko, to do ciebie*).
- Halo!
- Cześć Agata! Nie było cię dzisiaj w szkole, słyszałam, że jesteś chora. Jak się czujesz?
- Dziękuję, już lepiej, ale do szkoły jeszcze nie pójde. A co ciekawego słyhać w klasie?
- Wiesz, wszyscy się o ciebie martwią. I oczywiście masz pozdrowienia od całej klasy.
- Dziś na j. polskim bawiliśmy się w teatr i przygotowaliśmy inscenizację o leśnym duchu. Było bardzo wesoło.
- A co z innych przedmiotów? Pewnie będę miała dużo do nadrobienia.
- Troszeczkę. Ale nie martw się, pożyczę ci wszystkie zeszyty i wytłumaczę, gdybyś czegoś nie rozumiała.
- To fajnie, bo martwiłam się, jak sobie poradzę.
- Agatko, zupełnie bym zapomniała! W przyszłym tygodniu urządzamy w klasie mikołajki. Dzisiaj było losowanie. Za ciebie losowała pani i prosiła, aby ci przekazać ten los. Przyniosę ci go jutro wraz z zeszytami. Mam nadzieję, że wyzdrowiejesz na mikołajki i wrócisz już do szkoły.
- Ooo, tak. Za dwa, może trzy dni wrócę do szkoły. Cieszę się, że o mnie pamiętałaś i zadzwoniłaś.
- Ja też się cieszę, że już czujesz się lepiej. Wracaj do nas jak najprędzej. Muszę już kończyć. Zadzwoń jutro po lekcjach.
- To do jutra. Pa!
- Do usłyszenia!



Edyta Szkaluba kl. 6c

Ona mnie zawiodła, a myślałam, że jest moją przyjaciółką... Wszystko zaczęło się tak...

Poznałyśmy się na obozie wędrownym na Mazurach, 3 lata temu. Od początku wszystko wskazywało na to, że możemy być dobrymi koleżankami.

Spędzałyśmy ze sobą wiele godzin każdego dnia. Nasza znajomość przemieniła się w szczerą przyjaźń. Wiedziałyśmy, że możemy na siebie liczyć w każdej chwili. Ona rozumiała mnie, ja rozumiałam ją. Pomagałyśmy sobie przez te długie 3 lata. Trzymałyśmy się zawsze razem. Na wakacjach codziennie chodziłyśmy na basen oraz na boisko szkolne. Grałyśmy razem w piłkę nożną i siatkówkę, opalałyśmy się w cieniu dla zabawy, robiłyśmy sobie nawzajem zdjęcia, śmiałyśmy się, rozmawiałyśmy o naszych problemach życiowych. Czasem, gdy było mi ciężko, Ola była zawsze blisko - telefonowała, pisała listy, przychodziła do mnie na podwórko, gdyż mieszkała w tej samej miejscowości, co ja. W ubiegłym roku nawet zaczęłyśmy chodzić do tej samej klasy. Bywało tak, że wspólnie przygotowowałyśmy się do lekcji, pomagając sobie nawzajem. Cały czas wydawało mi się, że Ola cieszy się z moich osiągnięć, gdyż często to podkreślała, aż któregoś dnia okazało się, że jest zazdrosna o to, że moja średnia ocen wyglądała lepiej niż jej. I to, co mi zrobiła, dowiodło, że nasza przyjaźń jest wielką pomyłką. Potrafiła iść do nauczyciela z przyrody i podważyć moją ocenę, komunikując przy całej klasie, że nie byłam przygotowana do sprawdzianu i wszystko odpisywałam ze ściagi, co było nieprawdą. Jej postępowanie w tej sprawie bardzo mnie zabolalo i z tego powodu płakałam.

Ola jest nadal moją koleżanką, gdyż chodzimy dalej to tej samej klasy i codziennie się spotykamy, ale już tylko w szkole... Nasza przyjaźń okazała się dla mnie wielką porażką. Rozpadła się na milion małych kawałeczków...

„Prawdziwi przyjaciele to ci, którzy są przy tobie, gdy dobrze ci się wiedzie. Dopingują cię, cieszą się z twoich zwycięstw. Fałszywi przyjaciele to ci, którzy pojawiają się tylko w trudnych chwilach, ze smutną miną, niby solidarni, podczas gdy tak naprawdę twoje cierpienie jest pociechą w ich nędznym życiu”.



Izabela Kudroń kl. 6c

Uważałam ją za prawdziwą przyjaciółkę. Tylko jej wierzyłam i ufałam. Była dla mnie jak siostra. Zwierzałam jej się z moich przeżyć, opowiadałam o marzeniach.

Karolina pochodziła z bardzo bogatej rodziny. Jej rodzice mieli firmę, a ja i moi krewni ledwo przeżywalismy od jednej do drugiej wypłaty. Moja matka samotnie wychowywała czwórkę dzieci, a ojciec zmarł na zawał (tak twierdziła matka, choć ja wiedziałam, że ojciec popełnił samobójstwo). Był hazardzistą i miał ogromne długi. Bardzo się tego wstydziłam i nie mówiłam o tym nikomu, ponieważ nie miałam żadnej przyjaciółki. Ja i moje trzy siostry, zawsze brzydko ubierałyśmy się, gdyż na ładne ubrania nie wystarczało pieniędzy. W szkole

wszyscy nas wyśmiewali i obgadywali za plecami. Było nam wtedy bardzo przykro. Pewnego dnia, na lekcji historii, Karolina została wywołana do odpowiedzi. Widziałam, że nic nie umie, więc się zgłosiłam, gdyż przygotowywałam się na tę lekcję. Po dzwonku na przerwę, dziewczyna podeszła do mnie i zapytała, dlaczego to zrobiłam. Nieśmiało odpowiedziałam, że chciałam jej pomóc. Zaprosiła mnie wtedy do domu. Tak zaczęła się nasza wielka przyjaźń.

Miała naprawdę wielki dom, piękny ogród, ale najpiękniejszy był jej pokój, który wielkością przerastał moje mieszkanie. W pierwszej chwili pomyślałam, że ona tylko się nade mną lituje, ale ona przyniosła moje ulubione krakersy i usiadła koło mnie. Zaczęła mówić o tym, że ona też kiedyś tak żyła jak ja, dopóki matka nie wyszła za mąż ponownie. Skończyłyśmy rozmawiać bardzo późno. Następnego dnia spotkałyśmy się w szkole. Zaprosiła mnie na drugie śniadanie, na którym pokłóciła się bardzo ze swoimi przyjaciółkami o mnie. Krzyczały, że Karolina zadaje się z wieśniaczką i żebraczką. Ich kłótnie słyszała cała jadalnia i było mi bardzo wstyd. Dziewczyna znów zaprosiła mnie do domu i w nim pokazywała mi swoje zdjęcia z dzieciństwa.

Kilka dni później ponownie mnie zaprosiła. Byłam bardzo zaskoczona i zastanawiałam się, co taka dziewczyna może chcieć od takiej „wieśniaczki i żebraczki” jak ja. Gdy przyszłam, Karolina na swoim łóżku miała stertę ślicznych ubrań. Powiedziała, że wszystkie są dla mnie. Ja bardzo się zdziwiłam i zapytałam, dlaczego. Dziewczyna powiedziała, że są już na nią za małe i chce się jakoś odwdziżyć za tę lekcję historii. Cały wieczór przymierzałam ubrania i bardzo się nimi cieszyłam. Podzieliłam się ubraniami z siostrami i mamą, gdyż miały podobny rozmiar jak ja. Kila dni później Karolina zaproponowała, że da mi swoje mniejsze ubrania, które idealnie będą pasowały na najmniejsze siostry. Bardzo się ucieszyłam i podziękowałam, a matka uśmiechała się, dopóki nie przypomniała sobie, że jutro musi zapłacić prąd.

Uważałam Karolinę za prawdziwą przyjaciółkę, ponieważ rozumiała moje problemy i potrafiła je zachować dla siebie. Następnego dnia w szkole, Karolina zapomniała zadania, więc pozwoliłam jej odpisać. Za tę pomoc dziewczyna chciała mi dać pieniądze, oczywiście się nie zgodziłam i wspominałam o wielkiej pomocy, jakiej doznałam z jej strony. Kilka dni później znów poprosiła o zadanie, więc nie odmówiłam. Tydzień później stało się to samo. Zaczęłam się zastanawiać, co się dzieje. Zapytałam ją, o co chodzi, a ona zmieniła temat i powiedziała, że znalazła jeszcze jakieś ubrania dla sióstr.

Kilka dni później pewien chłopak z naszej klasy podszedł i zapytał, czy przyjdę na imprezę, którą on organizuje. Nie zdążyłam nawet odpowiedzieć, gdyż Karolina szybko przybiegła i powiedziała, że właśnie w tym terminie wybieramy się na zakupy. Ja zdziwiona zrobiłam wielkie oczy i zapytałam, o co chodzi. Ona powiedziała, że wyjaśni mi później.

Za miesiąc powtórzyła się podobna sytuacja. Zaczęło mnie to trochę denerwować. Dowiedziałam się, że dziewczyna pogodziła się ze swoimi

przyjaciółkami. Dopiero wtedy wszystko zaczęło mi się układać w logiczną całość. Zrozumiałam, że tę całą kłótnię, ubrania i pomoc moja najlepsza przyjaciółka ukartowała, aby mnie upokorzyć.

Następnego dnia ubrałam się tak jak dawniej w swoje rzeczy, a jej odzież oddałam dla potrzebujących. Nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego to zrobiła i czemu udawała. Gdy weszłam do szkoły, Karolina szybko do mnie podbiegła i zapytała, dlaczego się tak ubrałam. Powiedziałam jej, że wiem o wszystkim, ale ona udała, że nie wie, o czym mówię. Nie mogłam znieść jej ciągłych kłamstw i powiedziałam kilka niemiłych słów. Wtedy ona nie zwlekając rozgadała wszystkie moje sekrety, które jej w zaufaniu powierzyłam. Myślałam, że wybuchnę. W oczach pojawiły mi się łzy i dopiero wtedy zrozumiałam, jaka jestem naiwna. Na mój policzek spłynęła kropla... Wysłałam i znenawidziłam moją „przyjaciółkę”.

Kilka dni później dowiedziałam się, że firma jej rodziców zbankrutowała. W tym momencie do mieszkania wbiegła moja matka z kuponem „LOTTO” i krzyknęła, że wygraliśmy 12 000 000 złotych! Od tego czasu powodziło się nam naprawdę dobrze. Postanowiłam wziąć trochę pieniędzy z konta i dać je Karolinie. Ona bardzo podziękowała i zapytała, czy możemy znów zostać przyjaciółkami. Ja, lekko uśmiechając się, zamknęłam drzwi. Bardzo późno zrozumiałam, jaka jest naprawdę. Zamydliła mi oczy swoimi pieniędzmi i udawaną uprzejmością. Dużo dla mnie zrobiła i dlatego pomyślałam, że jest moją przyjaciółką. Ja oddałabym za nią życie, a dla niej byłam osobą, którą wyśmiewała ze swoimi znajomymi. Nie spodziewałam się tego po niej. Ona naprawdę mnie zawiodła.

Życie jest piękne!



Monika Kozimor kl. 6c

Życie jest dla mnie wartością bezcenną, lecz żeby okazało swoje prawdziwe piękno, powinniśmy na początku wybrać właściwą drogę.

Życie pozwala nam na wszelkiego rodzaju przyjemności, na rozrywkę, odpoczynek, czy zabawę. Musimy jednak pamiętać o naszych obowiązkach. Zbyt często w naszym codziennym życiu pojawia się komputer, telewizor i lenistwo, a coraz rzadziej nauka, czy pomoc w pracach domowych. Powinniśmy znaleźć czas na rozrywkę, ale też na obowiązki. W życiu zawsze możemy liczyć na przyjaciół i kolegów. Mogą oni nas pocieszyć, podzielić się radosną nowiną. W czasie wolnym od nauki możemy się z nimi spotkać, wyjść na spacer, a przede wszystkim miło spędzić czas.

Życie pozwala nam także na leniuchowanie! Na feriach, czy w weekend możemy liczyć na odpoczynek od nauki, zabawę, rozrywkę przed komputerem. W życiu mamy wiele możliwości!

Życie jest piękne, ale trzeba umieć z niego korzystać, podejmować właściwe decyzje, a przede wszystkim cieszyć się z niego!



Izabella Kudroń kl. 6c

Życie to dla nas bezcenny skarb, który otrzymaliśmy od Boga. Jest pełne niespodzianek, ale czasami daje nam w kość. Nikt nie wie, jak długo będziemy żyć. O swoim losie decydujemy sami, co świetnie opisuje przysłowie: „Jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz”. W przejściu przez nie pomagają nam przyjaciele.

Cudowne krajobrazy, bardzo dobrze rozwinięta technologia oraz sztuka upiększają nasze życie. Powinniśmy być bardzo szczęśliwi, że jesteśmy ludźmi, możemy podziwiać cuda natury. W pięknym świecie nie powinno być wojen, kataklizmów, ubóstwa i biedy. Wiosną możemy zauważyć, jak świat budzi się do życia. Rośliny rozkwitają, a zwierzęta wychodzą ze swych norek. Podziwiamy śpiew ptaków, widzimy, jak rozkwitają pąki kwiatów. Budząc się słyszymy szum morza, a zasypiając widzimy piękny zachód słońca. Kiedy biegniemy, w naszych włosach jest wiatr, czujemy pojedyncze krople deszczu, powstaje piękna tęcza, opasająca miasto.

Widząc to wszystko chce nam się żyć, śpiewać i tańczyć. A gdy przychodzą smutne chwile, wspominamy to piękno, które na chwilę zniknęło, bo przecież „życie kołem się toczy” raz jest dobrze a raz źle. Dlatego właśnie chcę dziś napisać, że życie jest piękne.



ZWARIOWANE HISTORIE ORTOGRAFICZNE



Hubert Brojek kl. 4a

„Niezwykła podróż pociągiem”

Błażej i Bożena byli pasażerami pociągu pospiesznego, jadącego z Sanoka do Honolulu.

Ponieważ było dosyć chłodno, Bożena wyjęła z bagażu kożuch, który założyła na drapieżnego węża, siedzącego obok na fotelu. Ten serdecznie jej podziękował. Chcąc się odwdziaczyć za tak miły gest, zapytał Błażeja i Bożenę, czy zechcą zjeść z nim ciepły posiłek, który zamierza przygotować. Współpasażerowie chętnie się zgodzili. Drapieżny wąż wyjął z przepastnej torby łyżkę, patelnię i zapalniczkę. Polecił Błażejowi trzymać zapaloną zapalniczkę pod patelnią, a sam wrzucił na nią ryż, rzeżuchę, trochę łupieżu i żelatynę. Mieszając łyżką produkty, smażył je na złoty kolor. Wspaniały zapach potrawy rozchodził się na cały wagon pociągu. Zwabieni tą wonią podróżni zaczęli schodzić się do przedziału Bożeny i Błażeja. Jednymi z nich były dwie sympatyczne dziewczyny – Żaneta i Elżbieta. Każda z nich miała założone na nogach łyżwy, ponieważ w korytarzu pociągu było bardzo dużo rozlanej wody, tworzącej rozległe kałuże.

Żaneta była osobą ubierającą się kontrowersyjnie. Pasażerowie byli zaskoczeni, widząc na jej głowie żelazny abażur i wpiętą w pożyczony płaszcz różę w kolorze niebieskim. Po spożyciu świeżo przygotowanego przez węża posiłku, Żaneta przyznała się, że jest wróżką i może używać różnych czarów i zaklęć. Wobec tego faktu współpasażerowie zaczęli się przekrzykiwać w swoich żądaniach. I tak Elżbieta poprosiła ją, aby zamieniła kałużę w lodowisko, by mogły wykonywać piruety ostrymi jak nóż płozami łyżew. Tak też się stało. Elżbieta wstała z fotela i poruszając się wolno jak zółw, weszła na lód. Rozpędziła się błyskawicznie, lecz wystraszył ją stróż pociągu, wchodzący przez dziurę w dachu, na którym była wybudowana wieża najeżona kolcami jak jeż. Przestraszona Elżbieta upadła niefortunnie na krzyże, doznając kontuzji. Wezwano na pomoc lekarza. Lekarz nazywany Czyżykiem, wyciągnął z kieszeni bandaż i wprawnymi ruchami zabandażował uszkodzony kręgosłup.

Błażej zażądał od Żanety, aby roztopiła lód, ponieważ stanowi on niebezpieczeństwo dla reszty pasażerów. Żaneta straciła moc wróżbiarską. Wobec tego drapieżny wąż wyciągnął z torby żelazko, którym po rozgrzaniu topili lód. Trwało to na tyle długo, że podróż ich dobiegła końca. Zaprzyjaźnieni ze sobą pasażerowie wyszli z pociągu i pobiegli w pobliski las, gdyż Bożena zauważyła rosnące tam jeżyny. Droga do lasu prowadziła przez łąny zboża, uderzające w ich

twarze. Wszyscy doznali obrażeń. Lekarz Czyżyk poczuł, że musi stanąć na wysokości zadania i tradycyjnie zabandażował ich wszystkich. Dzięki temu jeżyny należały do niego. Pozbierał je szybciotko do torby drapieżnego węża i wrócił do pociągu, pozostawiając wszystkich owiniętych jak mumie.

Żaneta, mając ściśnięty bandażem mózg, zaczęła intensywnie myśleć, przypominając sobie różne zaklęcia. Po piątej próbie udało się uwolnić towarzyszy podróży. Radość była ogromna. Drapieżny wąż, który spróbował pozostawionej na krzaku jednej jeżyny, skrzywił się okropnie. Okazało się, że owoc ten wywołuje porost włosów na całym ciele i czkawkę trwająca dwanaście dni.

Czyżyk nawet nie był świadomy tego, że sam sobie wymierzył karę.



Julka Futyma kl. 4a

Dawno temu pewnej dziewczynce o imieniu Róża przydarzyła się rzecz przedziwna (ale ona sama miała nierówno pod sufitem). Szukała ryzyka i ciągle pakowała się w kłopoty. Nieważne, zacznę już opowiadać, bo nie zdążę napisać tego na jutro...

Cała historia zaczęła się normalnie:

Róża podeszła do swej ciotki, Żanety, która właśnie smażyła węża na wolnym ogniu.

- Ciociu?

- Yhy?

- Pójdiesz ze mną do sklepu? Chcę kupić tacie abażur na urodziny!

- Nie mogę, kochana – powiedziała ciocia, polewając swą pieczeń wywarem z jeżyn. – Twój wujek, a zarazem mój mąż, Błażej, zostawił dzisiaj obiad na mojej głowie. Potem mam dyżur.

- Dobrze, pójdę sama, Grażyna, Elżbieta i Bożena się uczą – oznajmiła ze smutną miną. – Pa!

Sklep, w którym sprzedawano abażury, znajdował się za miastem, przy ul. Św. Jeża. Prowadziły tam dwie dróżki. Jedna z nich była słoneczna, prosta, świeżo zrobiona. Druga zaś stanowiła dokładne przeciwieństwo pierwszej – była stara, kręta i zalesiona. Róża, jak zwykle, musiała wybrać tę, która przez każdego była omijana szerokim łukiem.

Gdy tak szła w głąb lasu, nagle znalazła się na rozwidleniu dróg. Strzałka wskazywała w prawo, lecz dziewczynka wybrała drugą stronę – ufała swojej intuicji (która zresztą zawsze ją zawodziła...). W końcu, po długiej wędrówce, doszła do miejsca, gdzie drzewa ustąpiły skromny kawałek ziemi tym, którzy zbudowali tu wieżę. Wyglądała jak kamienny stróż. Pod jej ścianą leżała sterta

świętego zboża. Róża podeszła do żelaznych drzwi zamkniętych na klucz. Otworzyła je bezproblemowo, gdyż miała w kieszeni nóż, który działał jak wytrych. Nim zdążyła wejść, podbiegł do niej młody żółw:

- Proszę, udziel mi pożyczki! Muszę zapłacić żmii za uwolnienie mojego przyjaciela - czyżyka. Ta wiedźma – szantażystka żąda okupu, a ponieważ nie mam zbyt dużo pieniędzy, chcę, byś pożyczyła mi tych parę groszy!

- Nie wiem, czy mogę, na ogół żółwie nie mówią... Ale proszę, – powiedziała dziewczynka, podając żółwikowi swój portfel... i jeszcze kożuch, i bandaż, - zrób z nich pożytek. Aha, jak już idziesz w tamtą stronę, zanieś, proszę, ten bagaż wróźbicie Słamiemu. Chyba on był pasażerem, który to zostawił.

- Dziękuję! – krzyknął uradowany żółw i pobiegł, nie zważając na to, że depcze po największych kałużach. Róża patrzyła przez chwilę za nim i wróciła do swoich zajęć – przekroczyła upiorne mury kamiennej strażnicy.

Kiedy weszła do środka wieży, potwornie się przeraziła, gdyż na posadzce spał piękny leopard z krzyżem na grzbiecie.

„Mało mi było? – pomyślała ryzykantka – Może się jeszcze teraz obudzi, co?”

Gdzieś w trzewiach budowli rozbrzmiał głos:

„Na twe żądanie drapieżnik powstanie!”

- Wieża spełniania życzeń?!- ale sobie wybrałam... – powiedziała Róża i umknęła w głąb lochów. Nagle usłyszała, jak ze szczytu skalnych stopni krzyczy zwierzę:

„Nie myśl sobie, że jesteś jedyna! Mnie również się to nie podoba!”

Zignorowała go i zabrała się do plądrowania piwnic zamczyska. Uszła zaledwie trzydzieści metrów. Natrafiła na dół, wycięty na kształt ziarenka ryżu, w którym zamiast wody „pływała” żelatyna. Maż była lepka, płynna i gęsta. Róża próbowała przebrnąć przez „żel”. Szło się ciężko, a dół był ogroooooooooomny... Dziewczynka chciała być cierpliwa, ale nie wytrzymała: stanęła, wyciągnęła łyżeczkę i zaczęła zajadać! Żelatyna smakowała jak bakłażan – pycha! I znów do uszu Róży dobiegł głos, który jakby pochodził z wnętrza ziemi, od niego drżała cała podstawa wieży.

„Lepiej tego nie jedz. Możesz dostać łupieżu. Ha-ha-ha-ha-ha-ha-ha-ha-ha!”

- Żażuzno – odpowiedziała z pełną buzią Róża i zapewne miała na myśli słowo „za późno”.

Dopiero po pewnej chwili zorientowała się, że zapada się w „żel” coraz głębiej, przestała jeść i wyrzuciła ze swojego plecaczka żelazko i łyżwy, i jeszcze kilka ciężkich rzeczy, które tam trzymała. Kiedy zakończyła swą ucztę, wyszła na brzeg i wymościła sobie miejsce na rzezusze, która rosła w gigantycznej donicy.

Po krótkiej drzemce Róża zdecydowała się wrócić do domu.

- Panie Grzmiący Głosie?! – zawołała niepewnie. – Chcę wrócić do domu!

Zamknęła oczy i w jednej chwili znalazła się w swoim pokoju. Przypomniała sobie, że nie kupiła abażura, ale była zbyt zmęczona i, choć słońce jeszcze nie zaszło, położyła się do łóżka. Zасыpiając, pomyślała jeszcze, że ona przecież

nigdy nie lubiła smaku bakłażana. Ale nie zdążyła rozwinąć tej myśli, bo zasnęła...

Wreszcie skończyłam. Po przeczytaniu tego pewnie przyznacie mi rację, lecz ta historia, chociaż bardzo dziwna, zdarzyła się naprawdę. Dobra, mam dość. Siedem stron w formacie A-5 to niemało!...



Ola Łyko kl. 4a

Dawno, dawno,...a może nie tak dawno ,w pewnym domu mieszkała pani Grażyna ze swoim mężem Błażejem i ich córeczką Elżbietą.

Była to bardzo kochająca się rodzina. W każdy dzień pan Błażej wstawał rano i gotował Eli mleko. Zawsze, gdy przyszła do kuchni, było zimne i miało kożuch. Pani Grażyna smażyła na patelni chleb i na żądanie męża smarowała go masłem i posypywała rzeżuchą. Ponieważ pan B., bo tak na niego mówiono, pracował w wysokim jak wieża szpitalu, miał bardzo dużo pacjentów i miewał dyżury nawet do późnej nocy, dlatego też żona pozwalała sobie na takie narzekanie. Najczęstszą pacjentką pana B. była pani Żaneta. Miała ona w domu zółwia, czyżyka, jeża, a również drapieżnego węża i żmiję. Pani Żaneta przynosiła panu doktorowi świeże bakłażany, jeżyny, ryż, zboże, a w zamian za to pan B. dawał jej pożyteczne opatrunki typu bandaże, dzikie róże na okłady, gdyż pani Żaneta była biedna, a poza tym sponała swoją pożyczkę na dom. Miała ona córeczkę Bożenkę, która spotykała się często z Elą. Ich ulubioną zabawą była zabawa w „samolot”. Bożenka była pasażerem, a Ela pilotem i stewardessą. Gdy Elżbieta przyjmowała bagaże, Bożenka w tym czasie siedziała i czekała, aby Ela przyniosła jej łyżkę, nóż i żelatynkę w proszku, która była obiadem dla pasażera. Pewnego dnia już miały zacząć się bawić, aż tu nagle zaczął padać deszcz. Dziewczynki bardzo zmkły. Gdy Ela przyszła do domu, wszystko miała mokre.

- Ela, jak ty wyglądasz?!

- No...,bo zaczął padać deszcz i...

- Ściągnij to, niech się suszy.

Na podwórzu było bardzo brzydko.

- Mamo, mogę się przejść? Proszę!!

- Dziecko, nie widzisz, jaka jest pogoda?!

- No, widzę – piękna! I są kałuże!

- Nie ma mowy!

Biedna Elżbieta siedziała przy oknie i patrzyła...Aż po pewnym czasie zaczęła ją swędzieć głowa. Drapała się i drapała. W końcu poszła do mamy.

- Mamo, czy to nie dziwne, że się drapię po głowie?

- Pokaż tę głowę! No jasne, masz łupież.

- To coś poważnego?

- Nie!

Mama umyła Eli głowę leczniczym szamponem i już przestała ją swędzieć. Po chwili wrócił tata. Elżbieta, jak z armaty strzelił, zaczęła zadawać tacie pytania, np.:

- Kiedy pójdziemy na łyżwy?

- Czy żelazo, o taki płyn?

- A mogę ci zrobić wróżbę?

- A stróż to taki kwiatek?

Tato nie odpowiadał na pytania córki, ponieważ zasnął, a Ela nie zauważyła tego i cały czas zadawała tacie pytania. Nie wiem, czy już o tym wspominałam, ale babcia taty Eli miała na nazwisko Abazur, a tato mamy Elżbiety nazywał się Eustachy Żelazko.

To, co Wam właśnie opowiedziałam, to fajna historia. Gdybyście spotkali tę rodzinę, to dajcie mi znać.



Piotr Mól kl.4a

Działo się to wczoraj.

Małżeństwo Błażej i Bożena Łupież hodowali jeża. Ich jeż lubił jeść sałatkę z jeżyn i bakłażana. Błażej kochał Bożenę, gdyż ożenił się z nią przedwczoraj. Anioł Stróż zapowiedział im, że będzie ich strzegł, żeby się nie rozstali. Podczas gdy Bożena prasowała żelazkiem ubrania, Błażeja ukąsiła żmija. Po chwili przyszły pani doktor Grażyna i jej pomocnica Elżbieta. Grażyna owinęła ranę bandażem i kazała jeść świeży ryż. Elżbieta powiedziała siostrze Błażeja, Żanecie, że ukąszenie tego węża może doprowadzić do spadku żelaza w organizmie. Wkrótce Błażej wyzdrowiał. Niestety musiał brać pożyczki, gdyż jego żona kupowała każdy kozuch, który zobaczyła. Gdy pewnego dnia Bożena wsadzała kozuchy do szafy, jej niezdarny mąż potracił abazur. Abazur wpadł do patelni i zaczął się smażyć. Bożena, zobaczywszy, że powoli zaczyna palić się szafa, wsiadła na żółwia i pojechała na Dzikie Zachód. Anioł Stróż nie był z tego zadowolony, dlatego wziął czyżyka i włożył go do bagażu pasażera. Na żądanie Błażeja czyżyk zjadł żelatynę. Gdy autokar odjechał z przystanku, czyżyk zjadł zboże w bagażu i wyleciał z niego, a potem usiadł na wieży. Na wieżyczce wywróżył sobie wróżbę, a brzmiała ona tak:

Gdy wpadniesz do kałuży,
to strzeli w ciebie piorun z burzy.

Uciekaj więc pod różę,
a tam posprzątaj kurze.
Weź nóż,
Uderz posprzątany kurz.
Potem leć na Zachód Dziki,
gdzie również zjedzą cię dzikie dziki.

Poleciał więc, ale miał w pamięci przestrogi.

Na Zachodzie żyły drapiezniki. Widział tam łyżwę i łyżkę, i zobaczył też Bożenę. Zabrał ją ze sobą i wrócili do domu. Gdy Bożena zobaczyła swojego męża i jeża, przywitała się z nimi, a potem kupili nowy dom.

I żyli długo i szczęśliwie.



Michał Jaklik kl. 4d

"Przygoda z „ż”i „rz” w tle”

Pewnego dnia, chłopiec o imieniu Błażej i dziewczynka o imieniu Elżbieta, będąc na kolonii, wybrali się na kajaki. Płynęli i płynęli, gdy nagle rozpętała się burza. Błażej próbował coś zrobić, ale fala zmyła ich do wody Ocknęli się na plaży w dzikiej zatoczce. Ela wstała i zobaczyła Błażeja z bandażem na ręce, jedzącego ryż.

- Och, wreszcie się obudziłaś!- powiedział Błażej.

- Gdzie jesteśmy?- spytała Elżbieta.

- Chyba w jakiejś nieznanej zatoczce jeziora.

- No ładnie....a masz coś do jedzenia?

- Sprawdź w bagażu - odparł Błażej.

Elżbieta zobaczyła tam trochę chleba, ryż oraz wiele innych rzeczy.

- Postaram się zrobić coś do jedzenia, a ty tymczasem pobieraj drewno i szyszki.

Chwilę później wrócił Błażej z drewnem i dzikimi warzywami.

- Patrz, znalazłem rzeżuchę i bakłażan.

- To fajnie, wystarczy rozpalić ognisko, gdyż robi się już późno.

Dzieci rozłożyły namiot i przykryły się kożuchami. Rankiem obudził ich śpiew czyżyka.

Ela pokroiła chleb znalezionym nożem Błażeja i dodała jeżyny i owoce dzikiej róży.

„Jednak dobrze, że Błażej nie wyrzucił noża, gdyż bardzo się nam przydał”, pomyślała. Nagle obok przepęłzła żmija.

- Och!- krzyknęła dziewczyna.
 - Co się stało? spytał Błażej.
 - Ta zmija...uff uciekła...
 - To dobrze, a teraz patrz, co ja znalazłem- powiedział - i pokazał jej jeża.
 - No, no - ale fajny, a skąd go masz?
 - Znalazłem go koło na namiotu i wiesz - odkryłem tam pole zboża i dom.
- Spakujmy się i chodźmy.
Po drodze zauważyli węża, który leżał niemal w kałuży! Kiedy dotarli do tego domu, zadzwonili do kierowniczkii kolonii, która osobiście ich odebrała.
To była najwspanialsza przygoda w ich całym życiu.



Jakub Sperski kl. 4a

„Przygody królowej Elżbiety”

Pewnego dnia królowa Elżbieta postanowiła pójść do lasu nazbierać jeżyn.

W lesie napotkała stróża. Podeszła do niego i zapytała:

-Jak masz na imię?

-Mam na imię Błażej – odpowiedział stróż.

Nagle zza krzewu wyskoczył wąż i ugryzł Elżbietę. Do królowej szybko podbiegł stróż. Wziął bandaż i zabandażował miejsce ugryzienia. Wrócili do zamku, gdzie czekała na nią jej mama imieniem Bożena. Bożena rozkazała córce pójść do łóżka i zjeść bakłażan. Królowa Elżbieta była ciężko chora.

W odwiedzinie przyszła do niej jej najlepsza przyjaciółka Grażyna. Przyniosła jej prezenty, takie jak: nowe bagaże, abażur na lampę, ciepły kożuch, łyżwy na zimę, łyżkę oraz szampon na łupież. W tym czasie do karmnika przy oknie przyleciał mały czyżyk, zjadł okruchy, które wysypała mu królowa Elżbieta. Po paru dniach królowa wyzdrowiała. Poszła na pole pełne zbóż. Wzięła nóż, obciąła parę kłosów. Gdy skończyła pracę, zauważyła zmiję. Była ona drapieżnikiem, gdyż bez przerwy gryzła. Obok w kałuży taplał się żółw o imieniu Żaneta. Królowa Elżbieta nazbierała kłosów zboża i powędrowała do zamku. Już miała wejść do komnat, gdy u swych stóp zauważyła jeża. Jeż dał jej żelatynę do galaretki, ponieważ rozdawał ją gratis w tym dniu. Wzięła ją i powędrowała na najwyższą wieżę, gdzie była kuchnia. Każdy, kto umiał gotować, był szczególnie szanowany. Nad kuchenką wisiał krzyż. By pomóc królowej Elżbiecie robić galaretki, wysłano dyżurującą, najlepszą, która gotuje. Gdy już zrobiono galaretki, zaproszono: papieża, stróża oraz służby i mamę królowej Elżbiety. Po zjedzeniu

galaretki, dyżurująca z królową usmażyli świeżą rybę. Podczas jedzenia ryby goście zażądali jeszcze ryżu. Jedząc ryż czuli zapach róż i rzeżuchy. Królową Elżbietę bardzo chwalono, że jest pożyteczna. Po zjedzeniu wszystkich dań, goście się rozeszli do swoich domów. Królowa również postanowiła pójść do swojego pokoju.

Przed snem Elżbieta zawsze prasowała swoim żelazkiem parę ubrań. To nie było byle jakie żelazko, to było żelazko z żelaza. Gdy rano wstała, na dworze czekał na nią wróżbita, który wróżył. Był on pasażerem samolotu, który ostatnio przyleciał. Zapowiedział królowej, że weźmie pożyczkę od swojej mamy. Ta pożyczka była związana z jagodami, nazbieranymi przez mamę Elżbiety. Oczywiście, potem je oddała, zbierając jeszcze więcej.

Królowej Elżbiecie dobrze się powodziło, miała męża, dzieci i była bardzo szczęśliwa.



Miłosz Balazs kl. 4a

„Spotkania bliskie i dalekie”

Pewnego razu, na skraju lasu żył jeź. Jego kolce były tak ostre jak najostrzejszy nóż. Podczas jednej ze swoich wędrówek spotkał Elżbietę, Grażynę i Bożenę. Dziewczyny szły na spacer. Nagle Elżbieta zobaczyła różową różę, a obok niej rozsypany ryż.

Grażyna wpadła na pomysł, żeby usmażyć ryż, ale również jeź chciał go usmażyć, więc ukłuł Elżbietę, Grażynę i Bożenę swoimi ostrymi jak nóż kolcami. Grażyna krzyknęła i z plecaka wyciągnęła bandaż. Niestety, Grażyna nie zdawała sobie sprawy z tego, że do plecaka wpelzł wąż i zjadł bandaż.

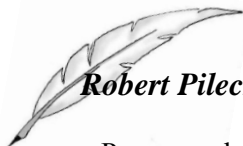
Dziewczyny płakały, płakały, aż zalały się łzami, wtedy przyплыnęła motorówka

z kapitanem i jednym pasażerem, który rzucił sznur i podciągnął je do łódki. Kapitan statku- Żaneta - miała w worku żelatynę i zrobiła galaretkę. Pasażer Błażej miał na głowie tonę łupieżu. Jeź i wąż byli w wodzie, więc pasażer na żądanie kapitana wyciągnął ich z wody. Galaretką wciąż była świeża, więc jeź i wąż ją zjedli.

W ciągu godziny zaczął padać śnieg i rzeka zamieniła się w lodowisko. Kapitan wyjął pięć par łyżew i krzyknął: „Na lodowisko”! Wszyscy zaczęli jeździć po lodzie. W oddali była wieża, w tej wieży skrzynia, a w skrzyni wróżba: „Weź żelazko, które zrobione jest z żelaza, wyprasuj żmii garnitur, a żółwiowi koszulę! Za to żądanie dostaniecie pożyczkę”.

Kapitan, pasażer i dziewczyny wzięli się do pracy. Po drodze zobaczyli zboże i drapieżnika, który trzymał abażur, bagaż i łyżkę. Jednak kapitan, pasażer i dziewczyny nie zwracali na niego uwagi. Szli dalej, aż w kałuży zobaczyli pisarza, który recytował: „Kozuch, krzyż, rzeżucha, dyżur, jeżyna, bakłażan, czyżyk, gżegżółka”. Kapitan, pasażer Błażej i dziewczyny wiedzieli, że z pisarza nie będzie żadnego pożytku, więc zostawili go w kałuży.

Jeż i wąż wrócili do lasu i zostali przyjaciółmi na całe życie.



Robert Pilecki kl. 4 a

Pewnego dnia tato w pracy dostał pożyczkę i zaprosił mnie do Zoo.

Widziałem tam małpę o imieniu Błażej oraz żyrafę z łupieżem. W żelaznych klatkach siedziały drapieżniki, a w trochę mniejszych żółwie, żmije i węże. Kiedy przechodziliśmy obok zagrody z pingwinami, mineliśmy zamrożone kałuże. W pomieszczeniu dla goryli widzieliśmy lekarzy, którzy mieli dyżur i zakładali poszkodowanemu bandaż. W klatce z ptakami widziałem czyżyka. Najbardziej podobały mi się jeże, które jadły rzeżuchę i ryż. Na końcu Zoo było pole ze zbożem, bar i sklepik z pamiątkami, dookoła którego zasadzono kolorowe róże. Były tam różne dziwne rzeczy: łyżwa, figurka stróża, nóż, krzyżyk, bakłażan jak również żelatyna, żelazko, i wróżba. Potem poszliśmy do baru. Zamówiliśmy sobie smażoną rybę, świeży ryż, soczyste jeżyny i mleko z kozuchem. Powiedziałem do taty, że ten bar to wielki pożytek. Mleko piliśmy łyżką, ponieważ było bardzo gorące. Wnętrze baru było pięknie wystrojone. Były tam ładne abażury, a w kącie stało bardzo dużo bagaży. Gdy wracaliśmy, tata zaproponował mi przejażdżkę melexem. Miały one różne imiona, takie jak: Elżbieta, Grażyna, Bożena... My jechaliśmy Żanetą. Na żądanie taty usiadłem pomiędzy innymi pasażerami, gdyż było za mało miejsca, żeby usiąść obok kierowcy. Żaneta dowiozła nas do kasy, gdzie tata zapłacił i pojechaliliśmy do domu.

To był bardzo fajny dzień.

W ŚWIECIE BOHATERÓW LEKTUR

„Spotkanie nad morzem” – co było dalej?



Patrycja Bednarz kl. 4d

Gdy pociąg dojechał już do Torunia, na stacji czekali na dziewczynki rodzice Danusi. Była wielka radość i gorące powitanie, bo jednak rodzice bardzo stęsknili się za córką. Wszyscy razem udali się do domu.

Danusia opowiadała mamie o swoich przygodach, jakie spotkały ją nad morzem i o swej przyjaźni, i chorobie Elzy. Jednak Elza była trochę nieśmiała i mało się odzywała, gdyż pobyt w obcym miejscu trochę ją onieśmiała. Pani Irena zauważyła smutek na twarzy dziewczynki, więc spytała, co jej jest i czy może boi się jutrzejszej operacji. Elza skinęła tylko głową, że tak i poprosiła Danusię, by zaprowadziła ją już do pokoju, bo chce się położyć. Danusia zrozumiała, jak Elza bardzo boi się pobytu w klinice i operacji, chciała ją jakoś pocieszyć, ale sama nie wiedziała, co ma jej powiedzieć, więc zamknęła tylko drzwi mówiąc „Dobranoc”. Elza długo nie mogła zasnąć, modliła się prosząc Boga o uzdrowienie, bo bardzo pragnęła widzieć i chodzić do szkoły jak inne dzieci.

Na drugi dzień po śniadaniu wszyscy pojechali do kliniki na konsultację z profesorem. Pan doktor, po zbadaniu Elzy, zaproponował pani Irenie, by dziewczynka została już w klinice, bo muszą przygotować ją do operacji. Mama Danusi zgodziła się na to, mówiąc Elzie, żeby nie bała się, bo oni wszyscy nie zostawią jej samej. Wtedy na twarzy dziewczynki pojawił się mały uśmiech.

Gdy nadszedł dzień operacji, wszyscy byli bardzo zdenerwowani, nawet Danusia chodziła po korytarzu tam i z powrotem. Mijały godziny i każdy czekał na jakąś wiadomość od lekarza. Po zakończeniu zabiegu lekarz powiedział, że on zrobił, co mógł i teraz reszta zależy od cudu...

Danusia nie opuszczała przyjaciółki na krok. Mijały dni, a dziewczynka dochodziła już do siebie. Nadszedł w końcu najważniejszy dzień dla Elzy, bo miała mieć usunięty opatrunek. Gdy wszyscy czekali pod gabinetem, nagle dziewczynka wybiegła pełna radości krzycząc, że widzi! Zapanowała wielka radość. Pani Irena zaopiekowała się Elzą jak własną córką i dziś dziewczynki chodzą razem do szkoły i są bardzo szczęśliwe.



Piotr Fic kl. 4 b

Danusia i Elza wysiadły z pociągu i stanęły na peronie:

- Jesteśmy już w Toruniu - powiedziała Danka do Elzy.
- Miasto musi być naprawdę ciekawe. Wszystko inaczej tu pachnie – odpowiedziała przyjaciółka.
- Tak. Miasto jest naprawdę interesujące. Znajduje się tu pełno ulic, dużo wysokich i kolorowych budynków. Po chodnikach przechadza się wielu ludzi. Panuje tu niezwykle gwar.
- No dziewczynki! Pójdźmy już do mieszkania coś zjeść - zaproponowała pani Irena. Dziewczynki się zgodziły i razem poszły do mieszkania Danki.
- Gdy zjadły obiad, Danusia zaprowadziła Elzę do swojego pokoju.
- Niedawno został tu przeprowadzony remont – powiedziała.
- Pewnie masz fajny pokój i dużo zabawek?- zapytała Elza.
- Tak, mam trochę zabawek. Będziesz spała u mnie, na oddzielnym łóżku - odparła.
- Dziewczynki, idźcie już spać. Jutro czeka was ciekawy dzień - powiedziała mama Danki.

Przyjaciółki posłuchały Pani Ireny i położyły się spać. Rano zjadły śniadanie i bawiły się razem w pokoju Danusi.

- Dziewczynki skończcie już zabawę i przyjdźcie tutaj. Muszę wam coś powiedzieć. Gdy obydwie przyszły, pani Irena wyjaśniła Elzie, że pewien lekarz musi ją zbadać, chce sprawdzić, czy będzie mogła odzyskać wzrok.

Gdy razem wróciły od okulisty, nie były do końca zadowolone. Bardzo cieszyły się z tego, że Elza odzyska wzrok, jednak miała zostać poddana operacji oczu, która mogła być wykonana tylko w Wielkiej Brytanii.

- Ach Elzo! Będę za tobą tęskniła. To będzie aż roczne rozstanie. Ale dzięki temu odzyskasz wzrok! - powiedziała Danusia.
- Tak. Ja też będę za tobą tęskniła. Będziemy pisały do siebie listy - odpowiedziała.

Nazajutrz Elza pożegnała się z Danusią i pojechała pociągiem do Warszawy, skąd miała odlecieć samolotem do Anglii.

Danusia i Elzie czas płynął bardzo wolno. Elza była już po operacji i teraz przechodziła rehabilitację. Danusia pilnie uczyła się w szkole i oczekiwała przyjazdu przyjaciółki.

- Danusia! Przyszedł list od Elzy! - powiedziała kiedyś pani Irena.

Danka zaczęła czytać:

„...Danusiu, nie wiesz jak za Tobą tęsknię! Na początku chcę Cię serdecznie pozdrowić.

Przeszłam już operację. Wkrótce wracam! Dziś pierwszy raz mogłam coś zobaczyć. Było to trochę zamglone, lecz i tak bardzo się cieszę...”

- Mamusiu! Elżunia wraca! - powiedziała Danka do mamy.

- Tak kochanie!

Po upływie kilku dni dziewczynka wraz z mamą wyjechała przywitać Elżę na lotnisku.

-Danka! - krzyknęła Elza.

- Elza! - wykrzyknęła Danka.

Danusia była szczęśliwa, gdyż Elza zaczęła widzieć. Elza wróciła do Budziszów, Danka co roku na wakacjach odwiedzała ją. Elza zaczęła też chodzić do szkoły, a przyjaźń między nimi cały czas się wzmacniała.



Kamil Tomczewski kl. 4d

Elza i Danusia jechały bardzo długo. Przyjechały do Torunia, rozpakowały się i poszły do parku zbierać kasztany. Kiedy wróciły do domu, mama miała dla nich niespodziankę. Nazajutrz rano dziewczynki nie mogły się jej już doczekać. Mama wstała i oznajmiła, że będą mieć trzecią pociechę w domu.

Po tygodniu Elza poszła do szpitala na operację. Gdy było już po wszystkim, pan doktor powiedział, że odbyła się ona z komplikacjami. Elza poszła do 5 klasy, do szkoły dla dzieci niewidomych, miała tam dużo przyjaciół i przyjaciółek.

Gdy w końcu odzyskała wzrok, Budziszowie i pani Rudzka przyjechali do Torunia.

Dwa tygodnie później Elza wyjechała nad morze.

Z niewyjaśnionych przyczyn w mieszkaniu Danusi wybuchł pożar. Babcia Danusi tak bardzo się zmartwiła, że jej serce nie wytrzymało i niestety zmarła. Danusia bardzo przeżyła śmierć babci, i gdyby nie bliskość Elzy, nie wiadomo, czy by też tego nie odchorowała.

Cała rodzina po obu nieszczęściach postanowiła wyprowadzić się nad morze. Zamieszkali w pobliżu domu Ady Rudzkiej, która po pewnym czasie zapisała obie dziewczynki do szkoły muzycznej. Obie okazały się uzdolnionymi uczennicami. Założyły kapelę, wzięły udział w konkursie muzycznym i zajęły I miejsce. Nagrodą był wyjazd w okresie wakacyjnym do Paryża.

Pobyty we Francji był dla dziewczynek jak sen. Wróciły uszczęśliwione i zapomniały o dotychczasowych problemach.



Paulina Guła kl. 4b

Po przyjeździe do Torunia Elza zapytała Danusię:

- Powiesz mi jak wygląda miasto?
- Jasne – odpowiedziała dziewczynka.
- Toruń to stare miasto. Mieszkał tu nasz astronom Mikołaj Kopernik. Mamy dużo ulic, zielonych parków, placów i wysokich domów.
- Chciałabym to zobaczyć – westchnęła Elza.

Kiedy szły do lekarza, Danka zapytała:

- Boisz się?
- Tak.
- Nie ma się czego bać, doktor jest miły.
- Serio?
- Tak, serio.

Gdy Elza wyszła z gabinetu, Danusia dopytywała się:

- I co? Jak było? Co powiedział lekarz?
- Nie zrozumiałam wszystkiego, ale muszę gdzieś pojechać.
- Jak to? Dopiero przyjechałaś.

Okazało się, że w Poznaniu jest klinika, która wykonuje skomplikowane operacje oczu.

Elza przebywała tam kilka miesięcy. Danka co tydzień pisała listy.

Toruń 1,01,2010 r.

Droga Elzo!

Co u Ciebie? Szkoda, że Cię nie ma. Zaczął się nowy rok, a ja czekam na wakacje.

Mam nadzieję, że odzyskasz wzrok i zobaczysz Toruń, o którym Ci opowiadałam.

Bardzo tęsknię za Tobą.

Danusia

Tydzień później ktoś zapukał do drzwi. Danusia podbiegła do nich i krzyknęła:

- Elza!
- Danusia! Więc to tak wyglądasz!

I przyjaciółki serdecznie się uściskały, a potem do późnej nocy rozmawiały.



Nikoleta Hydzyk kl. 4b

Dziewczynki przyjechały do Torunia. Na peronie spotkały babcię Danusi, która zawiozła je do domu.

Danusia złapała Elzę za rękę i zaprowadziła ją do swojego pokoju, aby pokazać jej, gdzie będzie spała. Następnego dnia Elza czuła się nieswojo, nie знаła okolicy i nie umiała się poruszać. Nagle do pokoju Danusi weszła jej mama z wieścią, że Elza pojedzie do Stanów Zjednoczonych, aby tam przejść operację, dzięki której zobaczy świat. Miała też złą wiadomość, gdyż dziewczynka miała tam spędzić cały rok. Przyjaciółki bardzo były ze sobą związane i nie wiedziały, czy się jeszcze zobaczą, czy Elza od razu wróci do cioci.

- Cieszysz się, że jedziesz? – spytała Danusia
- Trochę, ale boję się. - odpowiedziała Elza
- Ale dlaczego? Gdy wrócisz będziesz widziała.
- Na pewno?
- Na pewno!

Dwa dni później Danusia pomogła Elzie spakować się i następnego dnia panna Jezierska wsiadła do samolotu i poleciała. Danusia była bardzo smutna, że przez rok się nie zobaczą.

Niewidoma dziewczynka dotarła na miejsce trzy dni później. Tam spotkała innych rówieśników, z którymi się zaprzyjaźniła. Trzy miesiące później dostała list od Danusi, który przeczytał jej lekarz.

Droga Elzo!

Bardzo za Tobą tęsknię!

Myszę, że niedługo się spotkamy. Nudzę się, bez Ciebie nie mam co robić. A poza tym mam wspaniałą wiadomość: moja mama powiedziała, że będziesz mogła przyjeżdżać do nas w każdej wolnej chwili!

Życzę powodzenia!

Danusia

Tydzień później odbyła się operacja, która się powiodła. Elza zobaczyła świat, bardzo jej się spodobał. Jednak nie mogła jeszcze wracać, gdyż musiała chodzić na badania wzroku.

Kilka miesięcy później dziewczynki spotkały się wreszcie, a Elza zobaczyła, jak wygląda Danusia. Miała ona wąskie usta, krótkie, gęste włosy, piękne oczy i okrągłutki nos. Była wysoka i szczupła. Elzie bardzo spodobał się wygląd Danusi.

Obie dziewczynki długo utrzymywały ze sobą kontakt.



Julia Futyma, kl. 4a

Epilog

Jest piękny, jesienny dzień. Od strony drogi dobiegają odgłosy silników motorowych. Danusi nie daje spokoju jedna myśl, a mianowicie: czy zbiorą odpowiednią sumę pieniędzy na operację Elzy, która okazała się być zbyt kosztowna? Idzie wolnym krokiem przez park, prowadząc pod rękę przyjaciółkę.

- Bo ja się boję... – wyznaje Danusi Elza.
- Nie martw się, ja też – odpowiada dziewczynka.

Gdy po jakimś czasie docierają do domu, w progu wita je mama z nowiną: znalazły się potrzebne pieniądze!

- Super! – wykrzykuje Danusia. – Cieszysz się? – pyta.
- No chyba... – odpowiada po swojemu Elza.

* * *

- Elza! Pośpiesz się, bo się spóźnimy, a dziś w szkole jasełka, wiesz o tym – krzyczy Danka.

Elza wyszukuje swój płaszcz na wieszaku, zawiązuje szalik i trochę niepewnie przegląda się w lustrze. Danusia troskliwie poprawia jej nową czapkę. Od powrotu Elzy ze szpitala dziewczynki mieszkają już razem, nawet śpią w jednym pokoju!

- Danusia! Elzunia! Nie zapomnijcie o drugim śniadaniu! – woła babcia. – Jak wrócicie na obiad, to goście już będą. Mam obiecała odebrać dziadków z dworca. Dzisiaj będą pierogi!

- Pa, babciu! – I dziewczynki wypadają pędem z domu na zaśnieżoną ulicę. Biegają w podskokach, przepychając się i potracając, rzucają śnieżkami i co chwilę wybuchają radosnym śmiechem...

Ja też odwiedziłem królestwo Narnii...



Anna Staszczak, kl. 4a

Pewnego dnia pojechałam z rodzicami do muzeum.

Gdy zwiedzaliśmy je (a oprowadzała nas przewodniczka Hania), zobaczyłam lustro. Dotknęłam go i zobaczyłam, że zniknęła mi ręka, ale gdy odsunęłam się i pobiegłam do rodziców okazało się, że ręka jest na swoim miejscu.

Chciałam o tym zapomnieć, ale nie mogłam zasnąć, więc postanowiłam się ubrać i zobaczyć, co się wtedy stało z moją ręką. Nie mogłam się powstrzymać i postanowiłam wejść do lustra. Gdy to zrobiłam, okazało się, że za lustrem jest kraina o nazwie Narnia. Postanowiłam pójść w głąb lasu.

Idąc, zobaczyłam małe bobry, bawiące się w berka, a na kocyku siedzieli stary bóbr i jego żona. Zaprosili mnie do swojej chatki i poczęstowali rybą. Powiedzieli, że rodzina królewska chce się ze mną zobaczyć. Rano wyruszyliśmy do zamku o nazwie Ker- Paravel. Na miejscu zobaczyłam dziwne stwory, np. olbrzyma Grzmotołupa, fauny, centaury i inne. Nie tylko dziwne stwory tam były, ale też dwie dziewczynki i dwóch chłopców: Zuzanna, Łucja, Piotr i Edmund. Najładniejsza z dziewczynek, Zuzanna, miała długie, brązowe włosy, niebieską suknię i fioletowe pantofelki. Zaprosili mnie na obiad i zaproponowali, abym została z nimi w zamku. Odpowiedziałam im:

- Nie mogę tu z wami zostać.
- A dlaczego? – zapytała Łucja.
- Bo tam mam rodzinę, tatę i mamę – odpowiedziałam.
- Ale my też mieliśmy mamę i tatę, a zostaliśmy tutaj, bo fauny, centaury i inni nas potrzebują – odpowiedział Piotr.
- Dziękuję wam za wszystko, ale muszę wracać – powiedziałam i zaczęłam iść w stronę drzwi. Nagle ktoś zapytał cichym głosem:
- Jak się tu dostałaś? – to była Łucja.
- Przyszłam tu przechodząc przez lustro, a wy? – zapytałam ciekawa.
- My weszliśmy do szafy - odpowiedział Edmund.

Odprowadzili mnie do drzwi, a dalej poszli ze mną pani Bobrowa i pan Bóbr. Prosił mnie, żebym pozdrowiła swoich rodziców i podarowali mi mały kamyczek z napisem „Narnia”. Na koniec krzyknęli: „Niech żyje Aslan i Rodzina Królewska!”

I tak zakończyła się moja przygoda w krainie Narnii.



Daria Gonet kl. 4 a

Nazywam się Daria. Pewnego razu, gdy spacerowałam po lesie, nieoczekiwanie natrafiłam na jezioro.

Było ono głębokie – przekonałam się o tym, gdy weszłam do wody. Zanurkowałam i w dnie zobaczyłam dziurę. Wpłynęłam w nią i znalazłam się w jakiejś innej krainie.

Zobaczyłam czwórkę dzieci na koniach z koronami na głowie. Pierwszy podjechał do mnie chłopiec o brązowych oczach i włosach, z mieczem u boku i tarczą na plecach.

- Witaj. Nazywam się Piotr, a tam stoją Zuzanna, Edmund i Łucja.

- Gdzie ja jestem? - spytałam.

- Jesteś w Narnii. - odpowiedziała Łucja.

- Czekałiśmy na ciebie - powiedział Piotr. Dał mi konia i pojechaliśmy do zamku Ker-Paravel, gdzie miałam zasiąść jako przyszła królowa Narnii. Byłam bardzo zdziwiona.

Po południu pojechaliśmy zwiedzić Narnię. Nazajutrz poznałam mieszkańców, a królowie opowiedzieli mi historię tej krainy. Z czasem bardzo polubiłam wszystkich, zżyłam się z nimi. Zuzanna opowiedziała mi, że Aslan, król puszczy, czeka na mnie i że przyszedł od niego list. Gdy wracałam do zamku, zobaczyłam mieszkańców uczujących na dziedzińcu oraz Piotra i Edmunda, walczących na miecze.

- Mogę z wami powalczyć? - spytałam.

- Oczywiście weź miecz i zaczynamy - odpowiedzieli.

I tak przez kilka godzin wprawialiśmy się w walce na miecze. W pewnej chwili jednaak przyszło olśnienie - zapomniałam kompletnie o liście od Aslana!!! Gdy przyszedłam do sypialni, list leżał no łóżku. Wzięłam go do ręki i przeczytałam, a brzmiał on tak:

Puszcza, lato

Droga Dario!

Nazywam się Aslan, jestem królem puszczy. Ponieważ dotychczasowi królowie i królowe mają wrócić do swojego świata, Ty musisz ich zastąpić i zająć ich miejsce na tronie. Będę na Ciebie czekał tysięcznego dnia wiosny koła dawnego zamku Czarownicy o 10.00.

Pozdrawiam, król Aslan

Przypomniałam sobie, że dziś jest 999 dzień wiosny! Szybko poszłam się położyć. Rano, gdy się obudziłam, prędko coś zjadłam i pojechałam na miejsce

spotkania. Aslan był dużym lwem z śliczną grzywą i ostrymi zębami. Opowiedział mi o wszystkim, co powinnam wiedzieć.

Po kilku dniach odbyła się moja koronacja, a dawni królowie odeszli z Narnii.

W Narnii zostałam na zawsze. Bardzo mi się tu podoba.

Aslan zaś ciągle podróżuje...



Alicja Musiałek kl 4a

Opowiem wam o mojej przygodzie w Narnii, w której znalazłam się przypadkiem.

Przyjechałam na wakacje do cici. Gdy przyszliśmy z mamą do domu cici zjadłam coś, a potem poszłam obejrzeć słynną szafę, o której ciocia tak dużo mówiła. Oczywiście byłam tam też z bratem. Zaproponowałam mu zabawę w berka. Gdy się zgodził, ja już miałam kryjówkę. Tak - szafa! Oczywiście liczył mój brat. Gdy się schowałam, czułam wokół same płaszcze i futra. Cofałam się jak najdalej, aby nie było mnie widać. Nagle potknęłam się o coś i nieoczekiwanie poczułam – śnieg! Pomyślałam: „Skąd ten śnieg?”. Wtedy zobaczyłam latarnię. Poszłam w jej kierunku. Gdy doszłam do niej, dostrzegłam coś dziwnego. Był tam faun! „Dziwna ta kraina.”, myślałam. Faun był zamyślony. Gdy do mnie podszedł, wydał okrzyk przerażenia. O mało co nie pękłyby mi bębunki w uszach. Faun przeprosił mnie za to, że mnie przestraszył. Przyjęłam przeprosiny. Faun przedstawił się:

- Mam na imię Tumnus.
- Ja jestem Ala.,
- Może chciałabyś pójść do mnie na herbatkę?.
- Czemu nie?

Gdy doszliśmy na miejsce, pan Tumnus powiedział:

- Usiądź sobie, a ja zaparzę herbatę.
 - Bardzo miły z pana faun.
 - Och dziękuję ci za te miłe słowa!
- Gdy zaparzył herbatę, podał mi ją i powiedział:
- Napij się.
 - Dziękuję, chętnie wypiję coś ciepłego..

Gdy wypijałam napój, poczułam się senna i zasnęłam. 10 minut później gwałtownie się obudziłam, bo poczułam, że ktoś mnie niesie. To był pan Tumnus.

- Dokąd mnie pan niesie?. - zapytałam.
- Niestety, muszę...

I nic więcej nie powiedział. Gdy doniósł mnie na miejsce, zrobiło się okropnie zimno. Otworzyłam oczy i zobaczyłam białą panią.

Była taka blada, że odpychała ludzki wzrok. Już na pierwszy rzut oka wydawała się zła. Wtrąciła mnie do lochu. Siedziałam tam 24 godziny i na tym koniec, bo przybiegł pan Tumnus i mnie uwolnił. Kazał mi uciekać do latarni. Gdy przez nią przesłam, znalazłam się z powrotem w szafie.

To było straszne, ale i zabawne jednocześnie. Dowiedziałam się, że nie było mnie godzinę.

Tak skończyła się moja przygoda w Narnii



Emilka Serwońska kl. 4a

Trzy miesiące wcześniej przeżyłam dziwną przygodę.

Zacząło się to wtedy, kiedy pojechałam do cici do Włoch, były to wakacje. Ciocia nazywa się Irena. Jest osobą trochę przy kości, ma bladą, ale zawsze uśmiechniętą twarz. Jej oczy mają kolor niebieski, usta są czerwone a nos podobny jest trochę do kartofelka. Ciocia Irena ma też krótkie, kręcone blond włosy. Najbardziej podoba mi się w niej to, że w każdym znajduje jakieś dobre cechy. Kiedy tylko mnie zobaczyła, krzyknęła, jak zawsze z uśmiechem na ustach:

- Emilko, jak dobrze, że szczęśliwie dotarłaś! Mama jeszcze jest?
- Nie – odpowiedziałam – już odjechała.
- Och, jaka szkoda! Zaprosiłabym ją na filiżankę herbaty.

Szybko odnalazłam się w tym cici domku, ale tylko dlatego, że był mały.

Pewnego dnia wyszłam z pokoju, w którym spałam (ciocia spała sama w następnym pokoju, ponieważ wujek Arek trzy lata temu umarł). Ciocia oczywiście była Polką, ale przeprowadziła się tu 5 lat temu z wujkiem. Poszłam do kuchni. Byłam bardzo głodna, a wiedziałam od cici, że upiekła bułeczki. Otworzyłam piekarnik, ale zamiast zapachu ciepłych bułeczek odczułam śnieg i zimno. Poczulałam dziwną chęć, aby wskoczyć do piekarnika. Przechyliłam się i... wpadłam tam.

Nadal byłam w pizamie i kapturach z nadrukiem świnki! Nieoczekiwanie poczułam śnieg pod kapturami. Przed sobą zobaczyłam jedynie ciemność. Otworzyłam oczy, ale to nic nie dało. Przede mną świeciła tylko latarnia. Przestraszyłam się, kiedy zza krzaka zaczął dochodzić dziwny dźwięk. Nagle, ku mojemu zdziwieniu, wyskoczył stamtąd ... centaur! Potem otrząsnął się i zrzucił z siebie śnieg.

- Ty jesteś Córką Ewy? – zapytał.
- Ależ nie, skąd! – odpowiedziałam.

- To w takim razie wracaj do siebie, Biała czarownica kazała mi łapać tylko Synów Adama i Córki Ewy – powiedział centaur.

- Dobrze, już wracam, przecież nie będę tu tak stać do końca życia – powiedziałam centaurovi.

Wróciłam tam, skąd przyszłam (do piekarnika) i opowiedziałam tę historię cioci Irenie, potem rodzicom i dziadkom.

Stwierdziłam, że jeszcze tam wrócę, za parę lat.



Julia Futyma kl. 4a

Pewnego dnia poszłam do koleżanki. Chciałam ją trochę nastraszyć, tak więc weszłam do kotłowni, żeby się schować.

Niespodziewanie dostrzegłam drzwi w kolorze kości słoniowej. Podeszłam do nich i otworzyłam je.

O dziwo, prowadziły – nie, jak mi się zdawało - na schody, tylko do jakiegoś magicznego miejsca, gdzie wszystko zieleniło się i kwitło, a przecież u nas był środek zimy!

Kiedy tak szłam, potknęłam się o coś śliskiego i upadłam. Ktoś pomógł mi wstać. Przeraziłam

się – postać ta od pasa w górę była normalna. Mężczyzna o nagim torsie, uszy miał dłuższe niż ludzie. Reszta jego ciała należała do konia, brązowe włosie, długi ogon i cztery nogi. Nic nadzwyczajnego... A jednak był to centaur, lecz - nie przyzwyczajona do takich widoków - nie mogłam uznać tego za normalne.

- Mam na imię Onufry – rzekł – A ty?

- Aaaaaaaaaaaaaaaaaa... - Nie chciałam być nieuprzejma, ale nie mogłam nic innego z siebie wydobyć.

- Nie bój się. Jestem tylko centaurem. Jak chcesz się naprawdę przestraszyć, musisz zobaczyć innych mieszkańców Narnii.

- Aaaaaaaaaaaaaa... – padła kolejna niekontrolowana odpowiedź z moich ust.

Uciekłam, nie oglądając się za siebie. Wyciągnęłam ręce, by jak najszybciej znaleźć drzwi...

Resztę dnia spędziłam dość nudno, siedząc w domu i opisując to, co mi się zdarzyło. Żałuję tylko, że nie zostałam tam dłużej. Może jutro uda mi się jeszcze raz podkraść do kotłowni w domu koleżanki, nie będąc przez nią zauważoną?... W końcu przez cały czas miałam nieodparte wrażenie, że widzę ją gdzieś między drzewami. Właśnie dlatego tak wrzeszczałam... ;-)

Szkoła Podstawowa nr2 im. Św. Kingi w Sanoku
38-500 Sanok, ul. Rymanowska 17
tel.013 46 327 56 e-mail: sp2sanok@o2.pl
www.sp2.sanok.pl